

Na stronach zewnętrznych okładki:

Elżbieta Piórecka - „**Romantyczny Park**” („W cieniu lipy” – tech. mieszana, 70x50; „Opowieść o lipie” – pastel suchy, 70x50 (fragment); „Lipa” – pastel suchy, 50x34.

Na stronach wewnętrznych okładki:

ELŻBIETA PIÓRECKA

Arboretum w Bolestraszcach
37-700 Przemyśl
skr. poczt. 471
tel. kom. 694 516 523

Urodziła się 12.02.1968 r. w Jaśle. W 1988 roku ukończyła z wyróżnieniem Liceum Sztuk Plastycznych w Nowym Wiśniczu o kierunku tkactwo artystyczne. W 1989 roku zamieszkała w Krakowie, z którego w roku 1993 wyjechała do Paryża. Obecnie mieszka w Przemyślu. Od roku 2002 jest członkiem Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Twórczego „Wiklina”.

Udział w wystawach: 1992 – „Stara Galeria”, Kraków, rysunek; 1994 – La Celle Saint-Cloud, Francja, „Salon des Arts”, malarstwo; 1994 – Bergkhamen, Niemcy, „Textikunstaust der Region Krakau”, tkanina; 1995 – Monfort l’Aumaury, Francja, „Salon des Arts”, malarstwo; 1996 – Chambourcy, Francja, „Salon de Chambourcy”, malarstwo; 1997 – Chambourcy, Francja, „Salon de Chambourcy”, rysunek; 1997 – Vanves, Francja, „Salon de Vanves”, malarstwo; 1998 – Bastia, Corsyka, Angel Droit „Galerie Milla”, tkanina; 1999 – Chambourcy, Francja, „Salon de Chambourcy”, rysunek; 2000 – Chambourcy, Francja, „Salon de Chambourcy”, rysunek; 2001 – Chambourcy, Francja, „Salon de Chambourcy”, malarstwo; 2002 – Arboretum w Bolestraszcach, „Wystawa poplenerowa”, wiklina; 2003 – Poleski Ośrodek Kultury, Łódź, „Wystawa poplenerowa”, wiklina; 2004 – Galeria „Nowa”, Łódź, „Wiklina”, wiklina; 2004 – Instytut Wzornictwa Przemysłowego, Warszawa, „Wokół Wikliny”, wiklina.

Nagroda: 1998 – Premier Prix, „Salon des Chambourcy”, Francja, rysunek.

„Pejzaż położony na skraju lasu De Marly w pobliżu Wersalu, w całym układzie przestrzeni przedzierających się przez monumentalność drzew, światła i cienia przemykającego wśród neoantycznych budowli wtopionych w żywą roślinność jest stworzony i wyobrażony przez człowieka. Ten niewielki malowniczy świat, który powstał z udziałem „Twórcy Doskonałego”, bez którego nie mógłby zaistnieć, zdradza głęboko ukrytą w nas tęsknotę za utraconym rajem.

Le Desert de Retz – Romantyczny Park w pobliżu Paryża, zaprojektowany w XVIII wieku przez Francoise Henri Nikolas de Monville jest inspiracją i tematem moich obrazów i rysunków”. E.P.

Ponadto na stronach wewnętrznych okładki są prezentowane prace Elżbiety Pióreckiej „Poranna mgła”, pastel tłusty, 70x50 oraz „Pejzaż romantyczny”, pastel suchy, 50x34.

ELŻBIETA PIÓRECKA „Romantyczny Park” - Galeria TDK – 24.11 - 31.12.2004 r.
Tarnobrzесki Dom Kultury, ul. Słowackiego 2, 39-400 Tarnobrzeg, tel. (015) 822-21-10.

<p>W NUMERZE:</p> <p>Jan Szlęzak, Dorota Kozioł Spacerkiem po Tarnobrzegu i okolicy – Wspomnienia o Machowie; Był Machów...</p> <p>Tadeusz Zych Powiat tarnobrzесki w latach 1944-1956</p> <p>Renata Flaszа VIII Plener Artystyczny – Tarnobrzeg 2005</p> <p>Maria Bobrowska Stanisław Mityk i jego malarstwo</p> <p>Katarzyna Pisarczyk Uwolnić kolor</p> <p>Iwona Łukawska Dawna wieś sandomierska</p> <p>Sylwester Łysiak 10 Konkurs Piosenki „Wygraj Sukces”</p> <p>Renata Flaszа XIII Międzynarodowe Koncerty Organowe Tarnobrzeg 2005</p> <p>Sylwester Łysiak Jubileuszowy OKR</p>	<p>Marek Jakubowski, Dariusz Pietrzak Krzysztof „Kylu” Witkowski Satyrbues po raz szósty</p> <p>Tadeusz Zych Duchaśmy nie dali</p> <p>Grażyna Wianecka Życie i działalność Marii Kozłowej</p> <p>Kronika: Blisko Ziemi; Anioły</p> <p>Tadeusz Zych W królestwie Minosa</p> <p>Tadeusz Zych Wokół „Cudu nad Wisłą”</p> <p>Andrzej Wilgosz Laureaci „Dziecięcych Interpretacji”</p> <p>Sylwester Łysiak Premiery w TDK</p> <p>Bożena Wójtowicz-Ślęzak Malujemy Pastelami</p>
---	---

Stary Tarnobrzeg z Fotoalbumu Ryszarda Durzyńskiego – Zamek w Dzikowie (stan przed pożarem).

<p>Wydawca: Tarnobrzесki Dom Kultury ul. Słowackiego 2 39-400 Tarnobrzeg tel. (0-15) 822-21-10 tel./fax (0-15) 822-74-97</p> <p>Redaktor naczelny: Stanisław Dziubak</p> <p>Wpisywanie tekstów, korekta: Renata Flaszа, Bożena Grądzka</p> <p>Muzyka: Mariusz Ryś</p>	<p>Teatr: Andrzej Wilgosz Ruch Amatorski Sylwester Łysiak</p> <p>Literatura: Grzegorz Kociuba</p> <p>Stali współpracownicy: Elżbieta Miśkiewicz Sławomir Stępak Jan Szlęzak Tadeusz Zych</p>	<p>Druk: Wydawnictwo Samorządowe S.A. Tygodnik Nadwiślański 39-400 Tarnobrzeg ul. 1 Maja 4 a tel. (0-15) 822-52-40</p> <p>Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk tylko za zgodą Redakcji.</p> <p>ISSN 1426-2606</p> <p>Zapraszamy do współpracy z naszym piśmem!</p>
---	---	---

SPACERKIEM PO TARNOBRZEGU I OKOLICY

Był Machów...

Smutno jest pisać, że to już ostatni materiał o Machowie autorstwa pani **Doroty Kozioł**.

Na przestrzeni kilkunastu lat dużo napisano o tej wsi. W dużej mierze byłem świadkiem tych wydarzeń od najmłodszych lat. Dzieciństwo i młodość pozostawiają w pamięci trwałe ślady na całe życie.

Moja mama dożywszy 83 lat wspominała często: tak niedawno byłam dzieckiem, chodziliśmy do Machowa, do lasu... Wówczas pomyślałem sobie: jak niedawno? – to jakieś nieporozumienie. Teraz z perspektywy czasu przyznaję, że to prawda.

Dzisiaj, kiedy przyjeżdżam na obrzeże jeziora machowskiego od strony Kajmowa, widzę tylko po lewej stronie od Ocic wiekowe wierzby, które są punktami orientacyjnymi wyznaczającymi, gdzie były pola kajmowian, a gdzie zaczyna się jezioro. Pozostała nienaruszona Kępa Nadwiślańska. Zmienił się pejzaż. Pojawili się nowi przybysze, którzy wykupują działki, zaczynają budowę. Woda przyciąga. Dużo ludzi przyjeżdża oglądać zalew, któremu jeszcze brakuje wody.

Tylko niezmiennie góruje nad okolicą miechociński kościół. Z tego właśnie wzgórza rozciąga się przepiękna panorama na Machów, którego już nie ma...

Jan Szlęzak

Artykuły o machowskiej ziemi pani DOROTY KOZIOŁ, zamieszczane na łamach „Siarki” - gazety zakładowej KIZPS „Siarkopol”:

KRZAK BZU JUŻ NIE ZAKWITNIE...

Gruzu po zburzonych domach ciągle przybywało w Machowie. Na wiosnę ten gruz zarastał zielskiem, trawą, zabiżniały się zielenią wszelkie rany...

Lata 1960-1970 to dla Machowa czas powolnego umierania. Żał było patrzeć na te opustoszałe podwórka, na sady bezpieczeństwa, ale jeszcze kwitnące i owocujące, na pola, gdzie już przestały się kołysać łany zbóż, na łąki, gdzie wiosną kwitły kwiaty... We wsi powstało kółko rolnicze, które zaopiekowało się bezpiecznymi sadami, ogrodami, ziemią. Trwało to wszystko dopóty, dopóki nie przyszedł czas, że trzeba było stąd odejść na dobre... Siarka była już coraz bliżej. Kopalnia wgrzyzała się w wieś, wkraczała w nią coraz większymi krokami. Co pewien czas ubywało dwa, trzy domy, ktoś odchodził... Ale przecież w tej gasnącej wsi życie nie umarło nagle i zupełnie. Jakby na przekór temu wszystkiemu, jakby z uporu, działało się w Machowie wiele. Prym wiodła młodzież. Prężnie działało koło ZMW i ZMS. Młodzi kontynuowali tradycje ojców – organizowali spotkania, przedstawienia, zabawy, kuligi w zimie. Chętnie i często zbierali się w szkolnych salach po południu lub wieczorem, by pogawędzić o sprawach dnia codziennego. Kozłowa próbowała założyć kolejny zespół pieśni i tańca – za wszelką cenę, jakby się bała, że stare obyczaje, pieśni i obrzędy odjadą gdzieś na zawsze w świat taśmociągami razem z machowską ziemią. We wsi młodzieży było coraz mniej więc próbowała wciągnąć do tego ruchu przyjezdnych – tych, którzy mieszkali na kwaterach w Machowie albo w hotelu. Było kilka prób, zdaje się, że nawet i jakiś występ, ale ci „obcy” opornie połykali „haczyk” i wkrótce ze wszystkich wspólnych artystycznych przedsięwzięć wyszły nici. Trudno się dziwić, że tym młodym, dla których Tarnobrzeg był „ziemią obiecaną”, nie przypadły do serca tańce spod chłopskiej strzechy, ten folklor, który Kozłowa za wszelką cenę chciała uratować i przekazać następcom. Kozłowa mieszkała w Machowie prawie do końca, bo aż do wiosny 1969 roku. Do końca też pracowała z młodzieżą, jakby chciała jej na tę nową drogę dać jak najwięcej z tamtego Machowa, który skazany został na zagładę i zapomnienie. I znowu, jak za dawnych dobrych czasów, w domu u Kozłów zbierali się wieczorami chłopcy i dziewczyny, śpiewali, grali, tańczyli, przygotowywali przedstawienia. Gwaro tu było zawsze, jakby ten dom był ostoją, miejscem, w którym można zapomnieć na chwilę, że Machowa prawie już nie ma...

Zbyszek Bojda i Czesiek Bojda, Kaziu Mierzwa, Józek Komza, Hania Tęczówna, Stasia Tęczówna, Zosia Kozłówna, Zosia Janikówna, Zosia Mierzwa, Stach Rutkowski, Halinka Wolak, Kazia Grębowcówna, Miecia Zbyradówna, Krysia Niezgodówna, Stefan Kozioł, Tadek i Staszek Jabłońscy – to ci, którzy w tamtych ostatnich latach wnosili do tej ginącej wsi isierkę radości. To oni grali i śpiewali, zapraszali na przedstawienia, to oni w majowe wieczory śmiali się na ławeczkach pod ścianami domów, gdzie wokół pachniały krzaki białego i liliowego bzu... Taka to była machowska młodzież. Po ojcach jej chyba we krwi zostało, że nigdy ręk nie załamywała, że do końca pozostała pełna werwy i ambicji.

Wielu ludzi z Machowa poszło do pracy w „siarce”. Tego „nowego chleba” starczyło dla wszystkich – dla starych i młodych, dla tych, którym ziemia się znudziła, także i dla obcych. Ginął Machów – rósł Tarnobrzeg. Młodych ciągnęło do miasta. Chodzili na piechotę, jeździli do Tarnobrzegu rowerami, motorami. Jeździli też na swojej czerwonej „Jawie” Tadek Rawski i Olek Wiącek... „Cały tydzień haru, haru, a w niedzielę łup do

baru... – mawiał Tadek Rawski. Bawiła się machowska młodzież w „Tapimie”, „Kaprysie”, ale najchętniej bawili się jednak w machowskiej świetlicy, w myśl zasady: nie ma to jak u siebie. Do ostatnich prawie dni wykorzystywali każdą wolną chwilę, by jeszcze coś zrobić dla tej ginącej wsi, by jeszcze czegoś się nauczyć z jej chlubnych tradycji, by zabrać to z sobą i przekazać przyszłym pokoleniom.

I tak mijały ostatnie lata. Topniał ten Machów, ginął w oczach, ustępował miejsca wielkiej sierce. Połamane krzewy bzu jeszcze kwitły wiosną, jakby na przekór. Jeszcze pachniały sady jabłoniowym kwiatem. Dziadek Kalinka wędrował prawie codziennie pod bramę kombinatu i tam wygrywał na fujarce swoje tęskne melodie, jakby chciał tych nowych ludzi oswoić z tym, co przemijało, co odchodziło w zapomnienie. Chodził też i po wsi, a echo jego muzyki niesło się daleko po pustych szerokich polach, po okaleczonych ogrodach, po bezpiecznych sadach i łąkach... I chyba to granie do samej śmierci wszystkim machowiakom głęboko w sercu pozostanie. To granie, które zawsze kojarzyć się będzie z tym jednym, jedynym miejscem na świecie tak bliskim i drogim, z tym miejscem, do którego powrót jest przecież niemożliwy...

To granie kojarzyć się będzie z tym skrawkiem ziemi, na którym pod oknem domu krzak liliowego bzu nigdy już nie zakwitnie...

TRZY WYMIARY CZASU

Kiedy o sierce zaczęło się mówić serio, machowiacy przestali żyć normalnym życiem. Ich czas stał się trójwymiarowy. Ważne było to, co było, co jest i przede wszystkim to, co będzie. Przyszłość wyglądała niezbyt obiecująco zwłaszcza dla tych, którzy do ostatka trzymali się ziemi rękami i zębami, jakby mieli nadzieję, że jeszcze wszystko się odmieni. Ale przyszedł czas, że i oni musieli spakować manatki, ruszyć przed siebie na to nowe, na to obce, którego tak się bali, które odkładali na potem, choć wiedzieli doskonale, że przyjść musi...

Różnie się machowiakom powiodło, ułożyło. Jednym lepiej, innym gorzej. Nikt jednak nie przestał żyć czasem przeszłym, każdy na wspomnienie Machowa wdycha i łzy ukradkiem ociera... W Zbydniowie, w Baranowie, w Tuszynie czy Grębowie dziwią się miejscowi, że jeszcze po trzydziestu latach zapomnieć nie można. Nie mogą pojąć dlaczego tych ludzi nie cieszą nowe domy, sady, lepsza niż w Machowie ziemia... Weźmy choćby Sabata. Do Zbydniowa poszedł. Dom piękny wybudował, murowany z centralnym ogrzewaniem, z gazem, z parkietami, z kilkoma pokojami... Obok miał sad i dobrą ziemię, i nawet wodę bieżącą dla krów w oborze. Sam się temu dziwił i mawiał, że ani jego dziad, ani matka nie mieszkali w takich luksusach. Sabat dzisiaj już nie żyje. Ale w Zbydniowie dobrze pamiętają, że kiedy zagadnęło się go o Machów – smutniał jakoś dziwnie, pochmurniał i rozmowę na inny temat kierował. O Machowie mówić nie chciał, ale czasem, jakby zupełnie przypadkowo, wyrwało mu się: „Siarka w każdej rodzinie wszystko porzuciła. W Machowie żyły chłopcy nie bardzo głupi. Wieś była ładna i bogata, każdy ją podziwiał... Na kolanach człowiek by tam powrócił.”

Na kolanach wróciłby do Machowa nie tylko Sabat. Rozmawiałam kiedyś z Michaliną Kapuśniak samotnie mieszkającą w bloku. „Straszna ta moja starość w mieście – powiedziała. – W Machowie pewnie by mi tak źle jak tutaj nie było. Siadłabym sobie na ławeczce pod ścianą, patrzyłabym na ludzi przechodzących drogą w pole, na dzieci bawiące się na łące... Do ogródka bym zaglądała, kurom ziarna posypała, podwórko zamioła, o płot chruściany się oparła i z sąsiadem pogwarzyła, i dzień by jakoś zleciał. A tu tylko te betonowe bloki za oknem, tylko ten huk samochodów z ulicy, tylko te cztery ściany, w które nawet łbem bić nie wolno (choć to niby twoje), bo sąsiad usłyszy i awanturę zrobi, bo w bloku ma być spokój. Tam człowiek był taki swobodny, tam wszystko było miłe, swojskie... Może to głupie, co powiem, ale nawet ten gnój w gnojowisku mi pachniał... Czułam ziemię pod nogami. Teraz to jestem bez Machowa jak ten ptak bez nóg. Mogę wszędzie fruwać, tylko że przysiąść nie mogę ani na chwilę, tylko że nigdy już nie będzie tej słomianej strzechy, tych progów wysokich, które zawsze przekraczałam z radością, bo za nimi był zapach domu, zapach pieczonego chleba, ciepłego mleka prosto od krowy, gotowanych na wieczną ziemniaków z barszczem...”

Rozjechali się machowiacy w różne strony. Jedni tęsknią mniej, inni więcej, ale każdy gdzieś tam, w głębi serca, zostawił trochę miejsca dla Machowa...

Kiedyś namalował akwarelkę. Była na niej machowska kapliczka. Posłałam ten obrazek mojemu znajomemu – Stanisławowi Ordykowi „Czernikowi”. Napisał: „Kiedy patrzę na ten obrazek jawi mi się Machów jak żywy – razem z tą kapliczką, którą tyle razy jako mały chłopak jeszcze zdobitem polnymi kwiatami lub gałęziami brzozy na Zielone Świąta, rozsypywałem wokół pachnący tatarak... Gdzie się podziały te szczęśliwe młodzieńcze lata spędzone w naszym kochanym Machowie?... Gdzie ten nasz Machów?...”

W kolejnym liście do mnie Stanisław Ordyk napisał: „Powinnaś przejąć pałeczkę sztafety ludzi, którzy przyczynili się do tego, aby pamięć o naszym kochanym Machowie nigdy nie zginęła. Potrzebne to jest tym bardziej teraz, kiedy zniknęły z powierzchni ziemi przepiękne sady, zaciszne zaułki i szumiące trzcinami jeziora. Zniknęli lub rozpięchli się po świecie jego mili, weseli i kochający swą wioskę rodzinną mieszkańcy. Powinniśmy się o to postarać, aby obok sławnego Machowa – kombinatu pamiętano również o jego byłych mieszkańcach, bo na pewno na to zasłużyli. Prześluduje mnie od pewnego czasu myśl, czy by nie zor-

ganizować czegoś w rodzaju Klubu Machowiaków... Spotykaliśmy się co jakiś czas, uzgadniali program działania, wspominali. Każdy z nas ma na pewno głęboko w sercu ukrytą jakąś drogą pamiątkę, jakieś wspomnienie z tego skrawka ziemi, na której się urodził, wspomnienie, którym chciałby się z kimś podzielić..."

Nie doczekał się Ordyk Klubu Machowiaków. Odszedł któregoś dnia zabierając ze sobą na zawsze ukryte głęboko wspomnienia z tego skrawka ziemi, na której się urodził, i na której potem walczył w partyzanckich oddziałach. Odeszli i inni, którym przyszło żyć w trzech wymiarach czasu. Co jakiś czas miechociński cmentarz na wzgórku łaskawie przyjmuje ich na wieczny odpoczynek. Nie ma już Kalinki, Ludwika Fudali, Stańkowskiego, Sabata, Furmana, Galka... Stach Kozioł „Pularus” nikomu już nie opowie jak umierał jego sad... A piękna to była opowieść. W każdym jego słowie był dziki, straszny ból chłopca, który ziemię ukochał bardziej niż własną skórę, dla niej żył, na niej chciał umrzeć. Ból wielki i straszny, bo człowiek był bezradny wobec rzeczywistości, bezsilny wobec losu, który chwiał nim jak wiatr wątląm drzewem... Kiedy Kozioł o tej śmierci sadu opowiadał – załamywał ręce, zaciskał pięści, by potem opuścić je bezradnie na dowód tego, że nic zdziałać nie mógł. A ręce miał spracowane, zharowane. Bruzd, pęknięć na nich było bez liku. We Francji tyrał ładny kawał czasu, by dzieci chleba nie pragnęły, a gdy wrócił – ziemię w trudzie orał, rękami ją obłaskawiał, by posłuszną i dobrą była.

Kozioł sad miał piękny, na Klonowcu. Jesień była, kiedy wjechały tam spychacze. Na drzewach dorodne jabłka, urodzaj jak nigdy. Liczył Kozioł na to, że poczekają aż jabłka zbierze, aż je każde własną ręką do skrzynki położy i do domu zawiezie. Ktoś jednak wydał „mądrą” decyzję, że z sadem trzeba skończyć natychmiast, bo miejsce pod kopalnię już potrzebne. Kozioł jabłek zerwać nie zdążył; poszły pod spychacze... „Serce mi chciało pęknąć jak patrzyłem na to – mówił – Moja praca, moja krwawica. Własnymi, tymi czarnymi od pługa rękami te drzewa pielęgnowałem, kochałem jak rodzone dzieci... W sadzie rosła stara grusza. Jakie gruszki na niej były tego roku!... Jak spychacz do niej podjechał i w pień uderzył to leciały te gruchy jak złote łzy na ziemię i spadały z jękiem... Ten płacz słyszałem w sobie. Widziałem jak ta moja gruszka zadrżała, jak się przestraszyła... Oporna była, nie zdawało mi się, że patrzy na mnie z wyrzutem, że jej nie bronię, nie ratuję, a przecież tak ją pielęgnowałem... To było gorsze niż huragan, niż pożar, powódź. Nogi mi się w ziemię zapadły i stałem jak słup soli. Ruszyć się z miejsca nie mogłem, a zdawało mi się wcześniej, że jakby mój sad ktoś tknął choćby palcem, to z siekierą, z widłami na niego się rzucę, za gardło uciąpię i dusić będę, i prać, że śmiać moją krwawicę ruszyć..."

Nie ma już Kozła „Pularusa”, nie ma sadu ze złotą gruszą, nie ma Machowa... Próbuję zebrać choćby cząstkę tego, co po machowiakach i Machowie zostało. Próbuję żyć, tak jak oni, w tamtym świecie i bardzo bym chciała jak najwięcej z każdego z jego wymiarów ocalić.

NIE TYLKO SIELANKA

Kiedy na początku lat sześćdziesiątych zrealizowano reportaż o Machowie i pokazano go w telewizji – ludzie byli oburzeni. Wszystko co najgorsze pokazali – krzyczeli. – „Nędzarzy z nas robią! Czemu nie pokażą domu Kozła, Matyki, Myszki, Dąbka tylko ciągle jedną i tę samą chałupinę Kosowej?... Chcą udowodnić, że siarka nas w milionerów zmieniła, że dziady my byli galicyjskie z jedną tylko koszulą na grzbiecie, ze strzechą słomianą nad głową..."

A kiedy Stach „Koszałka” przeprowadził przez telewizyjny ekran kozę na powrózku – miarka się przebrała. „Ale kłamstwa, ale bzdury! – mówili ludzie. – Gdzie ten nasz piękny Machów, gdzie?!..."

A Stach „Koszałka” rzeczywiście kozę na powrózku prowadził przez „Pień”, bo tak sobie pan redaktor z telewizji życzył. A że w Machowie nikt kozy nie miał – do Chmielowa na pożyczki jeździli, bo koza być musiała. A tak naprawdę to kiedyś tam w Machowie koza była, u Wójciczki. Ale kiedy ta zakończyła swoją wędrówkę po ziemskim padole, wędrówkę długą i znojną – zniknęła i koza z machowskiego krajobrazu.

Drugą sprawą, która bardzo denerwowała machowiaków były foldery, albumy o siarce. Oburzali się na nie bardziej niż na telewizyjny reportaż, bo wiadomo przecież: reportaż oglądają ludzie raz, dwa czy pięć razy i zapomną, a taki folder na wieki zostanie. A w nim zdjęcie ubogiej chatki „Kosów” i dziadek Kalinka... „Ani słowa o tym, jakie tu były sady, jacy mądrzy, zdolni ludzie – mówili – „...Stary Kozioł to najlepiej w „przesiedleniu” powiedział: *Dajcie mi zaświadczenie, że wysiedlenie jestem i po żebrach chodzić mogę... Bo gospodarzem byłem przez całe życie, a przez tę siarę cholerną dziadem mi zostać przyszło. Bo dzieci ziemi nie chcą, do bloku idą. Ja sam rady nie dam, nie poradzę już czarnym skibom. A chłop bez ziemi to dziad, nędzarz i lepiej mu nie żyć. Tak i mnie na starość przyszło...*"

Ludzi mądrych, zdolnych w Machowie nie brakowało. „Nie można to było w takim folderze na przykład Wiącka dać? – oburzali się machowiaczy. – I posłem był, i senatorem. Dużo dobrego dla Machowa i całego powiatu tarnobrzesckiego zrobił. Z karczmami walczył, szkoły po wsiach zakładał, czytelnie, żeby chłopcy ciemne nie byli. Instruktorów ze Lwowa, z Krakowa i Warszawy zwoził, chłopów ziemię lepiej uprawiać uczył, sady sadył. Mądry był, choć szkół żadnych nie kończył. Chłopów kochał, krzywdy im robić nie dał. A Kalinka? – Że na fujarce pięknie grał to jeszcze nie wszystko, bo i co on właściwie reprezentował?... Nawet z Machowa nie pochodził..."

Jeśli dokładniej przyjrzeć się dziejom Machowiaków, to rzeczywiście trzeba stwierdzić, że wcale tak marnie nie było ani pod względem materialnym, ani pod żadnym innym. Zaczęło się od Wiącka. Wiele siły włożył ten człowiek w to, żeby tę wieś na nogi postawić, by przekonać chłopów, że można żyć lepiej, dostatniej. Udało mu się. Pałeczkę przejęli potem młodszy. Każde machowskie pokolenie zostawiało po sobie jakiś ślad.

W ciężkich międzywojennych latach duża grupa machowskiej młodzieży skończyła szkołę średnią, a potem i studia. U Fudalów np. trzech chłopaków się wykształciło, a Franuś jest dziś znanym i cenionym lekarzem – pediatrą w Szczecinie. Z tych samych lat Machów ma także naukowca – doc. dr. hab. Józefa Podkówkę. Dziś już chyba profesorem został, w gliwickiej politechnice pracuje. Któż nie pamięta Poznańskiego?... Doktorat zrobił na Uniwersytecie Jagiellońskim, z filozofii. Z tych „powojennych” też doczekał się Machów kilkunastu wykształconych ludzi, którzy w Polskę poszli i nie wstydzą się nigdy przyznać, że z Machowa ich ród się wywodzi. Staszek Farbisz, Staszek Pokrywa, Gienek Motyka, Gienek Stala, Tadek Walski...

Nie było tak ciemno i źle w tym Machowie. Nie samym tylko chlebem ludzie tutaj żyli. Jeszcze z dzieciństwa pamiętam, że ludzie omijali dom Wojtaków. Jeśli coś im tam wypadło załatwić, to robili to z wielką niechęcią, wchodzili i wychodzili pośpiesznie. Dopiero potem, po latach, dowiedziałam się, że właśnie tam, u Franka Wojtaka, odbyło się pierwsze zebranie partyjne we wsi. „Czerwoni” – mówili na nich ludzie. Wojtak, Stach Grębowiec, Stach Grębowiec „Poleczka”, Franek Motyka, Janek Sabat, Józek Niedziałek, Stach Szczytyński, Władek Niezgodą – oni pierwsi podjęli tę działalność.

Ileż w tym Machowie było sprzeczności, ile istniejących obok siebie poglądów, punktów widzenia, ile dni złych i dobrych, ile ludzkich charakterów, przyjaźni, zawiści do grobowej deski!...

A te parę lat wojny i okupacji!... „Ten był w AK, a ten w BCh... O tym w książkach piszą, a cóż on takiego zrobił?...” – komentują ludzie. Tak to już jest z ludzkimi sądami. Stach Ordyk „Czernik” książkę o swoim oddziale partyzanckim napisał – też się nie podobała. Pewnie, że nie wszystkie fakty się zgadzają, że nie zawsze było tak, jak opisane. Ot, choćby pogrzeb Baški („Kosowej”)... Píše Ordyk jak to miechociński proboszcz Baški pochować nie chciał, bo pieniędzy na pogrzeb rodzina nie miała. A on, „Czernik” osobiście pofatygował się ze swoimi leśnymi chłopcami na plebanię i takie „nauki” proboszczowi dał, że ten nie tylko Mszę za darmo odprawił w intencji nieboszczki, ale i po ciało wyszedł i wszystkie świece podczas nabożeństwa zapalił polecił. A tak naprawdę – kiedy „Kosowa” umarła, dawno już „Czernik” i jego leśni chłopcy złożyli broń, dawno już przestali polować na wroga po drogach i ścieżkach tarnobrzесkiej ziemi, bo były to już lata pięćdziesiąte!...

Pomijając te i inne nieścisłości, trzeba przyznać, że jest to – jak dotąd – jedyna książka o machowskich chłopcach – partyzantach. Tylko „Czernik” zebrał część tego, co machowskie, co ocalić od zapomnienia trzeba, spisał, wydrukował.

Coraz mniej zostaje śladów po Machowie. Na zawsze odchodzą ludzie, rozmywają się w pamięci obrazy z tamtych lat, niewiele jest zdjęć w rodzinnych albumach...

Pisać o Machowie wcale nie jest łatwo. Nie tylko dlatego, że już go nie ma. Machów to przecież nie tylko sielanka, kwitnące sady, słowiki... I tu bywało gorzko, ciężko. I nie zawsze jasno świeciło słońce nad Machowem.

TAM, ZA WIŚLANYM WAŁEM

„Kupa smrodu i ten przeklęty dołek to wszystko, co po Machowie zostało – mówią ludzie. – Nawet kamień, nawet ziarno piasku z „błońskiej” drogi, nawet droga w Strudze... – nic się nie oparło, nie uchowało, nie zdołało przetrwać. Nawet niebo nie takie nad Machowem jak kiedyś...”

Patrząc na ten machowski „dołek” trudno dziś powiedzieć, w którym właściwie miejscu była wieś, gdzie Dębniaki, Błonie, Klonowiec, gdzie Łaz, a gdzie Piekło...

Z Machowa nic nie zostało... Na pewno nic? – Wystarczy tylko przejść na drugą stronę wiślanego wału, mniej więcej na wysokości przepompowni w kopalni Machów. Oczom ukazuje się niezwykły widok. Ale tylko i wyłącznie machowiakowi może ścisnąć się serce, gdy to zobaczy. Dla wszystkich innych ludzi ten teren między wałem a Wisłą jest najzwyczajszą łąką. A tak naprawdę – tam, za wiślanym wałem została odrobina Machowa, taki sobie strzępek, taki kawałeczek, po którym błdzi jeszcze cień pachnącej jabłoniowym kwiatem wioski... Wystarczy tylko przejść za wiślaną wał, a już jak żywa jawi się w pamięci majowa noc, kiedy właśnie tutaj przychodziło się słuchać słowicznych nawoływań, kiedy księżyc topił się w wodzie rzeki i srebrzył jej fale, kiedy pachniały trawy, kwiaty, zioła, kiedy zakwitał krzak kaliny...

Kępa – tak nazywał się ten obszar łąk nadwiślańskich, obszar, który do dziś pozostał prawie niezmienny. Kępa ciągnęła się od Kajmowa do Nagnajowa na przestrzeni około 1600 metrów. Pierwsza działka – łąka od strony Kajmowa – należała do Fudali Wicka, ostatnia (od strony Nagnajowa) do Marysi Galkówny – Dąbkowej. Mieli tu swoje łąki Galkowie, miał Jestał, Myszka, Stach Tęcza, Komza Franek i jeszcze kilku innych gospodarzy. W Kępie podobno straszycło. Nikt tego nie brał poważnie, ale wszyscy wierzyli, że jakaś „siła nieczysta” nadwiślańską sielankę chce zakłócić. Opowiadał mi pewien machowiak o nocy, którą kiedyś spędził nad Wisłą. „Paśliśmy konie – mówił. – Zostaliśmy we dwóch na noc. Cicho było, cichuteńko, ciepło.

Ani listek na drzewie nie drgnął, ani jedna trawka się nie poruszyła. Rozłożyliśmy się pod drzewem, pokładaliśmy się a pies, który był z nami, przytulił się do moich nóg. Spętane konie spokojnie gryzły trawę w pobliżu. Pięknie świecił księżyc. Najpierw gadaliśmy trochę, a potem się nam przysnęło. I nagle coś mnie obudziło, jakiś potworny szum. Myślałem, że to burza. Wydawało mi się, że nad moją głową łamią się drzewa, że za chwilę wiatr porwie mnie i uniesie gdzieś daleko. Rozglądałem się, ale wokół było cicho i spokojnie. Czułem jak cierpnie mi skóra, jak włosy stają dęba. Pies zaczął skowyczeć, sierść mu się zjeżyła i wciskał się całą siłą pod moje nogi. Patrzę, a tu w leju po bombie, na Komzowej Kępie, stoi coś białego, bardzo błyszczącego. Przetarłem oczy, patrzę a to chlup w wodę. Myślałem, że to blask księżycy, że to może drzewo tak błyszczący w jego świetle. Znowu przetarłem oczy, a tu woda się rozstępuje, to wysokie i białe znowu stoi, i znowu chlup w ten lej po bombie... „Widzisz?” – spytałem przyjaciela. „Widzę!” – krzyknął tamten i nim zdążyłem się zorientować co się dzieje – już go nie było. Dał dyla za wiślany wał. Wysokie białe chlapało się nadal. Nie wytrzymałem i ja długo, choć do bojących się nie należę. Kiedy tak chlupnęło czwarty czy piąty raz, wziąłem nogi za pas i do domu wróciłem. Konie też się pewnie spłoszyły; bo następnego dnia znalazłem je dopiero w Kajmowie, jakieś dziwnie niespokojne i wystraszone.

Lej po bombie na Komzowej Kępie pozostał do dziś. Została też jabłonka, która rodzi maleńkie rajskie jabłuszka o cierpkim smaku. Czy tam jeszcze straszy?... Zmężniały stare drzewa, rozrosły się nadbrzeżne krzaki. Pod jesień stroi się w czerwieni koralu jarzębina. Tak jak dawniej są jeszcze dwa podjazdy na rampę – Myszkową i Gałkową. W dziewięćdziesięciu procentach Kępa jest nadal tak machowska jak była kiedyś. Wystarczy tylko zapomnieć, że za plecami jest ten „przeklęty dołek”, a na chwilę można wrócić do tamtego Machowa. Kiedy stanie się twarzą do Wisły, zasłucha się w szum traw – ma się wrażenie, że za chwilę Stach Tęcza zajedzie tu wozem zaprzężonym w dwa chude konie, że Komza „Pajter” zjawi się ze swoim tragarzem zaopatrzonym w skrzypiące kółko, naładuje nań trawy i powiezie do domu dla krowy... Ma się wrażenie, że nad wodą, w wiklinowym cieniu przysiadzie dziadek Kalinka i grać będzie swoje smętne piosneczki na lipowej piszczałce...

„Ludzie się ze mnie śmieją – mówi Eugeniusz Janik – że w najgorsze smrody się pcham jeżdżąc na ryby... A mnie do tej Kępy ciągnie jak wilka do lasu. Czuję się tam jak przed trzydziestoma laty... Jeżyny zbieram, kaliny kiść do domu przyniosę, wiosną bukiet rumianów ze środkami żółtymi jak słońce... Choć jabłka z Komzowej jabłoni maleńkie, zawsze zrywam parę, bo mają dla mnie smak młodości, zapach tamtej wsi, w której się urodziłem i wychowałem. Kiedy tam jestem, mam wrażenie, że za chwilę wrócę machowską drogą do wsi, do domu, gdzie z kolacją czeka na mnie mama... Pachną gotowane ziemniaki i żur. Za chwilę wszyscy, całą rodziną, siądziemy do stołu... I choć po drugiej stronie drogi wre praca w kopalni, to zapomnę o siarce. Bo tam, za wiślany wał, pozostał jeszcze okruch naszego Machowa”.

NIECH ŁZY PRZESŁONI JABŁONI KWIAT

Jeszcze trochę i znowu wiosna przyjdzie na nasze łąki i pola, zatrzyma się przy płocie w ogródku, zaszumi zielonym wiatrem w brzożach, zapachnie w lesie konwalia. Tylko, że w Machowie, na Golowej Górze nie zakwitną już fiołki i pierwiosnki, nie pokryje ziemi pachnący śnieg jabłoniowego kwicia... A takie wiosny piękne w Machowie bywały!... Opisać je trudno, opowiedzieć ani namalować się nie da. Ich kolor, zapach, urodę znają i znać będą tylko machowiaczy...

„Chyba do końca życia śnić mi się będą machowskie jeziora – mówi Eugeniusz Janik. – Właśnie wiosną, takie jeszcze dzikie, dopiero zarastające tatarakiem i trzcina. Ileż razy moje chłopięce nogi tam biegały!... W tych trzcinach, sitowiu, w tej gorzko pachnącej trawie był nasz azyl, kiedy mieliśmy po kilkanaście lat.

Machowskie jeziora wysychały tylko w latach suchych, a ponieważ takich lat było niewiele woda w jeziorach była prawie zawsze. A jakie ptaki tam mieszały!... W przedwieczornej ciszy dało się słyszeć ich różnorakie głosy. To coś jak wielka orkiestra. Grało to wszystko, śpiewało, nawoływało się. A wieczorem królowało żabie muzykowanie – i tam na jeziorach, i na Strudze, i w Kale... Jakby to był jakiś koncert konkursowy... Jedne były lepsze od drugich. W rezultacie – nad wsią niosło się wieczornym niebem to kumkanie, rechotanie jak wspaniała kołysanka, jak najmiłsza sercu muzyka.

Jeziora ciągnęły się u podnóża Golorych Gór i dochodziły aż do samego pastwiska. To było nasze królestwo, kiedy jako chłopcy często byliśmy przez rodziców wysyłani do pilnowania krów i koni. Brnęliśmy przez wodę jezior, taplaliśmy się w mule. Łapaliśmy też ryby, wybieraliśmy jaja dzikich kaczek, żeby je potem upiec w ognisku. Znosiliśmy do domu całe naręcza pachnącego tataraku, całe bukiety kaczeńców żółtych jak słońce, niezapominając jak niebo i len błękitnych... Szumiały wiotkie trzciny, pachniało mułem, rybą.

Kiedy myślę o machowskich jeziorach, zawsze są one dla mnie zupełnie takie jak w dzieciństwie, owiane mgiełką tajemniczości, zawsze pachną tatarakiem, sitowiem.”

Machowskich jezior już nie ma i nie będzie. Nie ma też tej chatki i krytej strzechą, którą każdy machowiak znał i pamiętał. A chatka stała właśnie tu, nad jeziorami. Mieszkała w niej samotna babuleńka, więcej pewnie niż dziewięćdziesiąt „roków” sobie licząca.

Babcia Furdynka... Lubiałam do niej zaglądać. Zaskakiwała wspaniałą pamięcią i niezwykłym darem opowiadania zdarzeń z przeszłości. Życie miała długie i ciężkie, napatrzyła się w nim nie mało na różnych ludzi,

na różne fakty, sama wiele przeżyła to i opowiadać było o czym. Męża flisaka miała. Ileż to razy biegła nad Wisłę, żeby go pożegnać, kiedy tratwą odpływał do Gdańska!... Piosenki flisackie śpiewała, o koralach prawdziwych, które „oryle” dziewczynom przywozili – opowiadała... Od niej też wiem, jak pracowało się na pańskim polu, jak ekonom bąta nie żałował, żeby do roboty zachęcić.

Nie ma już babci Furdynki. Odeszła na zawsze zabierając ze sobą wszystkie radości i żale z jej długiego życia. Nie ma już tej chatki bielonej wapnem, krytej słomą, nie ma krzywego plecionego płotu, nie ma cembrowanej studni...

Często ostatnio rozmawiam z machowiakami. „A może byśmy tak zrobili jakieś spotkanie? – mówią – Po tylu latach!... Ależ byłoby to ciekawe! Na pewno przyjechaliby wszyscy nawet z odległych stron. Jaka to radość tak się spotkać! A mówić przecież będzie o czym. Bo choć Machowa nie ma – on żyje ciągle w nas. Żyje i będzie żył.”

Dziwny to naród ci machowscy ludzie. Jak w Machowie mieszkali było i tak, że jeden drugiego „w tyżce wody chciał utopić”, włosy sobie z głów o byle drobiazg wydzielali wzajemnie, a teraz, kiedy przypadkowo na ulicy się spotkają, padają sobie w objęcia ze łzami w oczach, jak najlepsi przyjaciele, jak najbliższa rodzina, którą się kocha i bez której trudno żyć... Widocznie aż takiego rozstania było trzeba, żeby jeden drugiego pamięć uszanował, żeby naprawdę zatęsknił...

Jak się już tak „zejdą” ci machowiacy, to prawie nigdy nie mówią o tym jak im jest teraz, a zawsze o tym jak to w Machowie było. Jak bolesna zadra tkwią w pamięci zwłaszcza te ostatnie lata, kiedy wieś pustoszała coraz bardziej, kiedy trzeba było zabierać manatki i wynosić się na zawsze. „Pamiętasz, jak to Julek Rawski pilnował Machowa? – zapytał mnie kiedyś Zbyszek Bajda. – To był chłopt! Z Machowa nie pochodził, żonę tylko stąd miał, ale kochał tę naszą wieś może bardziej niż niejeden mieszkaniec. Bolało go to, kiedy na opuszczone place wchodzili obcy ludzie, buszowali po pustych już budynkach, grasowali w sadach i jeszcze mieli pretensje, kiedy się im zwróciło uwagę. A Rawski ostry był, oj ostry!... Jak przyuważał jakiegoś wiertacza przy orzechach rosnących na Wiąckowym placu to mu nie darował. Sam w głowę oberwał, aż mu krew fontanną twarz zalała, ale tamtego przegonił na cztery wiatry”. „Jak to po machowskich ludziach – mówił – to niech machowskie ludzie zrywają, a nie jakieś przybłędy! Sadzić i pielęgnować to nie miał kto, a teraz rękę wyciągać i jeszcze czuć się pewnie na tej naszej ziemi potrafią! Nie dość, że nam wieś zniszczyli, to jeszcze rządzą się na jej resztkach jak szare gęsi!”

Rawski serce w Machowie zostawił. Zgodzić się musiał na to, że już nigdy nie będzie tego pięknego domu, ogrodu pełnego rozłożystych jabłoni, tej lipy z ulem – wabikiem, tej kapliczki – ze świętym Florianem – za płotem. Ale o Machowie, gdzie upłynęły jego najlepsze lata, nie zapomni pewnie nigdy. I nie ma takiego pogrzebu, na którym by Rawskiego brakło. Kto, jak kto, ale Julek Rawski wszystkich machowiaków na piaszczysty wzgórek miechocińskiego cmentarza odprowadza. Żegna ze smutkiem każdego, jakby grzebał wraz z nim kawałek tamtych machowskich lat.

Teraz, kiedy często rozmawiam z machowiakami i kiedy widzę łzy w ich oczach, przypomina mi się fragment pewnego wierszyka, który napisałam mojej mamie. Bo mama zawsze obiecywała, że kiedyś historię Machowa spisze, że zanotuje na kartkach papieru to wszystko, co było dla machowiaków drogie i piękne. Że będzie pisać o jabłoniach, łąkach pełnych kwiecia, o szerokich nadwiślańskich polach. Napisałam jej: „Rzuci kwiat jabłoni na mroki lat. Niech łzy przesłoni/ jabłoni kwiat...” Dziś, kiedy znowu widzę łzę w oczach machowiaków, przypominają mi się te słowa. I dlatego piszę o tych wiosnach, jesieniach, latach, zimach, o tym wszystkim, czego nie powinno się zapomnieć. Piszę o tych jabłoniowych kwiatach, by choć trochę przesłonić tamte łzy.

GÓRY

Trudno powiedzieć, czy tamci ludzie czuli się machowiakami, czy też woleli przyznawać się do tego, że pochodzą z Chmielowa. Mówiło się po prostu „Góry” i już wiadomo było, że chodzi tu o te trzy domki za Górnym Ługiem, w samym środku lasu, gdzieś mniej więcej w połowie odległości między Machowem a Chmielowem. Od lat, jak w zupełnej pustelni, mieszały tam trzy rodziny: Krajewscy, Koprowie i Wilkowie. Rzadko kiedy pojawiali się tu obcy. Nikomu przecież po drodze nie było, chyba że w lesie zabłądził. Siedzieli więc ci z „Gór” – jak to się mówi – jak u Pana Boga za piecem i pewnie nic by się nie zmieniło, gdyby nie siarka. Podzielili los machowiaków, musieli odejść, zostawić tę ziemię przez lata całe wydzieraną lasowi, pielęgnowaną utrudzonymi rękami...

Dwa razy w roku „Góry” były celem wycieczek dla uczniów machowskiej szkoły. Ostatni raz byłam właśnie na takiej wycieczce w roku 1961. Pani kierowniczka – Stefania Tęczowa poleciła każdemu z nas zabrać ze sobą grabki, motyczki, trochę kwiatów, jakiś znicz albo świeczkę. W jesienny dzień, tuż przed dniem Wszystkich Świętych, poszliśmy oczyścić i uporządkować cmentarz na „Górkach”. Dużo było tych żołnierskich grobów. Na niektórych krzyżach tabliczki z nazwiskami, niektóre bezimienne. W tej leśnej ciszy, w sąsiedztwie „Gór” spoczywali Polacy, Czesi, Austriacy. Tu padli w walce i tu złożono ich do pojedynczych i zbiorowych mogił na wieczny odpoczynek. I leżeli od pierwszej wojny światowej przez długie lata, jeden obok drugiego, już nie wrogowie, ale na zawsze pogodzeni i zrównani, jakby to było nieprawdą, że strzelali

do siebie, że kłuli się bagnetami... Szumiały nad mogiłami sosny, drżał płomyk świeczki zapalony dziecięcą ręką w jesienny czas.

Druga wojna światowa też nie przeszła przez „Góry” bez echa. Często gościli tu partyzanci, często zaglądali też Niemcy. Ten las wokół „Gór” był królestwem Stacha „Czernika” i jego leśnych chłopców z BCh. Przez „Góry” właśnie przyszło w czterdziestym czwartym „wyzwolenie” do Machowa.

Był czas, że „Góry” stały się czymś w rodzaju nadziei – nie tylko dla Machowa, ale i dla okolicznych wsi. W latach trzydziestych przystąpiono do budowy fabryki. „Co to miało być? – Nie wiem. Prawdopodobnie coś związane z przemysłem zbrojeniowym – mówi jeden z machowiaków, który w tej powstającej fabryce pracował. – Zjechało się tu dużo ludzi z całej Polski – specjalistów, fachowców. Postawili parę budynków. Czynna była stołówka, trzy sklepy. Były też drewniane baraczki, w których mieszkali przyjezdni robotnicy.”

„Góry” już wtedy były dla ludzi z okolicznych wsi wielką przyszłością, nadzieją. Ale ta nadzieja przysła jak mydlana bańka. Wojna przekreśliła wszystko – budowę fabryki, możliwość dostania pracy, zarobku. Realną sprawą okazała się dopiero siarka.

Powstającą fabrykę zniszczyli Niemcy. Właściwie nic tam nie zostało. „A tak się już ładnie zapowiadało – mówi jeden z machowiaków. – Tyle ludzkiej pracy, tyle planów na przyszłość! Dużo ludzi z Machowa znalazło tam zatrudnienie. Kobiety chodziły do kuchni, mężczyźni do murarki i do innych prac. Co to miał być za zakład – nie wiem. Pamiętam tylko, że w tych wybudowanych pomieszczeniach, w których już wkrótce miała ruszyć produkcja, zgromadzono spore ilości naftaliny... Zresztą nie jest ważne, co się miało tam produkować. Najważniejsze, że ludzie znaleźli wreszcie robotę, bo Dęba i Stalowa Wola nie potrzebowały przecież aż tylu rąk. Dostać pracę, zarobić parę groszy było wtedy wielkim szczęściem. No i przyszła wojna. Tylko kupa gruzów po fabryce – nadziei pozostała. Rozkupili potem ludzie te resztki, pobudowali z nich domy czy obory. Zniknęły też baraki pełniące funkcję hotelu dla robotników. Jeden taki barak, pamiętam, kupił Józek Kozioł. Zestawił go w ogrodzie i długo w nim mieszkał. Dopiero kiedy wystawił kamienicę, fabryczny barczek poszedł na spalenie. A tam na „Górkach”, żaden ślad nie został...”

Trudno powiedzieć czy tamci ludzie z „Gór” czuli się bardziej machowiakami czy chmielowiakami... Tkwili tak mniej więcej pośrodku – między Machowem a Chmielowem, osłonięci ścianami sosnowego lasu, chronieni przez gałęzie starych dębów i brzoź rosnących przy ich domostwach. Oswojeni z tą żywiczną ciszą, z echem błędzącym od jednego do drugiego sosnowego pnia, z zielenią drzew, mchu i paproci – na pewno nie pogodzili się łatwo z koniecznością opuszczenia na zawsze tego jedyne dla nich miejsca na ziemi...

Odeszli ludzie z „Gór”, zniknęły „Góry”... Nie ma już dawno tego miejsca, gdzie w latach trzydziestych rosła fabryka. Zostały tylko żołnierskie mogiły, w których przez tyle lat snem wiecznym śpią obok siebie Polacy, Czesi, Austriacy... Jesienią nie spada już na nie złoto z brzoź... Cmentarz jest już dziś na terenie kopalni otworowej Machów – II. Pracownicy ogrodzili ten teren, porządkują mogiłki. Może w jesienny czas któryś z nich zapali tu czasem zaduszkową świeczkę...

Nie ma już „Gór”. Tego skrawka ziemi, który machowiakom był bliski i przyjazny, trzeba by dziś szukać na dąbrowickiej zwalce...

PRZYWOŁYWANIE

„Kochana Marysiu, bardzo cię proszę, przepisz mi te wszystkie piosenki i wierszyki o Machowie, te, co sama ułożyłaś. Tak mi się tu przykrzy w tym Suchorzowie, że rady sobie dać nie mogę. Choć dom mam ładny, choć niczego nam nie brakuje, to mi się ciągle zdaje jakoś, że to nie moje. Ziemia tu inna jak machowska, a ludzie nie takie jak u nas... Czasem to i po kątach płaczę. Napisz mi, Marysiu, te wierszyki, bo jak sobie poczytam, pośpię, to zapominam, że to nie „Łaz” w Machowie a Suchorzów, że to nie machowskie pola a obca ziemia”.

„Jakoś mi łżej jak sobie tak powspominam...” – napisała w liście do Marii Kozłowej Agnieszka Niedziałkowska. Zeszyt gruby przysłała, żeby było na czym tę poezję spisać. Zresztą nie tylko jej Marysia te wierszyki i pieśni przepisywała. Ze wszystkich stron nadchodziły i nadchodzą listy. „Marysiu, napisz, przyślij... Marysiu, chcemy to mieć, bo tylko tyle z naszego Machowa zostało...”

Marysia... Nikt w Machowie inaczej na nią nie mówił. I nawet dziś, choć ma już osiemdziesiąt dwa lata, Marysią pozostała. „Moja przyszłość” – mówił o niej ojciec, Wojciech Wiącek, i spracowaną szeroką dłonią złote warkocze gładził, kiedy jako mała dziewczynka przez ramię zaglądała mu do rozłożonej na stole książki, do rękopisu, do czytanej gazety. U Wiącków czworo dzieci było. Rodzice dbali o dobre wychowanie, do szkół je posłali, ojczystą ziemię kochać nauczali. Tadek, Władek i Kasia do ojcowskich papierów i książek jakoś specjalnych ciągotek nie mieli. Tylko ta „Przyszłość”, ta Marysia, od kołyski prawie ojca o wszystko wypytywała, na wiece, na zebrania z nim chodziła i zawsze o tym marzyła, by być taka jak on. Czy jej się to w życiu udało? – Na pewno, choć jej działalność przybrała zupełnie inny kierunek niż ojcowski. „Tatuś politykę lubił – mówi dziś – ale nam zawsze powtarzał: *Nie bierzcie się dzieci do polityki. Innym dobrze czyńcie, bo to jest w życiu najważniejsze. To jest wasze zadanie.* Do dziś dźwięczą mi w uszach tamte słowa. Wszczepiona przez ojca pasja społecznego działania szybko się we mnie przyjęła, rozrosła. I taką pozostałam na całe życie”.

W każdej wsi jest ktoś taki, kto ster działania trzyma w swoich rękach, ktoś, do kogo ludzie mają zaufanie, ktoś, kto zrozumieć i pomóc potrafi. W Machowie taką osobą była Marysia. Już w dzieciństwie koleżanki zbierała na podwórku, w ogrodzie przy domu i przedstawienia robiła – tak jak tata, piosenki śpiewała, wierszyki układała. Kiedy trochę podrosła – ta działalność „podwórkowo-zabawowa” w prawdziwą pasję się w niej zamieniła. Przedstawienia, dożynki, wieczory literackie, programy artystyczne na różne okoliczności; malowała także, haftowała, kwiaty i pająki do przystrojenia wiejskich izb na zamówienia gospodyń robiła, biednych wspierała, słabym pomagała. Taka to była ta „Wiackowa Marysia”.

Niewiele dziewcząt szkołę średnią wówczas skończyć mogło. Za naukę trzeba było przecież płacić. Marysia nauczycielką chciała być. W Tarnobrzegu pięć lat się uczyła; ona i Marysia Galkówna. Ale te marzenia o „Siłaczce” jakoś szybko się rozwiały. Owszem przez parę lat w machowskiej szkole była tzw. „drugą siłą” oprócz kierownika Wilka, ale dom, rodzina, praca społeczna zabierały jej cały czas i z nauczania trzeba było zrezygnować.

Marysia długo panną była. Kiedy wyszła za Kozła i dwoje dzieci urodziła – myśleli wszyscy, że to już koniec z Marysinyim zapałem. Ale ona, jakby na przekór wszystkiemu, w garach, pieluchach i robocie w polu się nie zagrzebała. Ciężko jej było godzić te wszystkie obowiązki, ale jakoś sobie radziła. „Do tańca i do rózańca ta kobieta” – mówili o niej ludzie i nawet ci, którzy z jej przedsięwzięć trochę się podśmiewali, w głębi serca zazdrościli jej wrodzonego uporu i zapału. Podanie ładnie napisać potrafiła, do urzędu w cudzej sprawie poszła, list miłosny pannie do chłopaka napisała, namalować, wierszyk ułożyć, zatańczyć, zaśpiewać umiała... Zespół pieśni i tańca założyła i po Polsce z nim jeździła i wkrótce o roztańczonych machowiakach głośno się mówić zaczęło. Brała udział w dziesiątkach różnych konkursów, wystaw sztuki ludowej, organizowała kursy haftu dla kobiet. Swoją pasję chciała wszczepić innym. Wesele, pogrzeb, dożynki, prymicje – nie tylko w Machowie, ale i w najbliższej okolicy – bez Marysi się nie obeszły. Kochała młodzież i z nią najwięcej pracowała. Dom Kozłów był zawsze otwarty dla wszystkich, którzy potrzebowali pomocy, którzy chcieli się czegoś nauczyć.

Ale przyszedł rok 1969 i trzeba było pakować manatki. Ociągała się Marysia z tym odejściem, jakby wierzyła, że wysiedlenie to koszmarny sen, który jej się przyśnił, jakby jeszcze miała nadzieję, że da się cofnąć czas. Dziś mieszka w Tarnobrzegu, w bloku. Dopóki ludzie nie znali jej nowego adresu – był spokój. Teraz Marysia znów jest potrzebna machowiakom. Jak wesele w rodzinie, jak dożynki, jak jaka uroczystość – przyjeżdżają po wierszyk, po piosenkę, żeby urządzić to tam, u siebie, „po machowsku”, tak jak dawniej... I pisze Marysia te weselne oracje łzy wyciskające, pisze dożynkowe przyśpiewki, maluje ludziom obrazki z gąskami idącymi rzędem nad machowską „Strugę”...

Patrzy teraz Marysia przez to miejskie okno. Patrzy na betonowe ściany i zamyśla się. Co w życiu zrobiła, co się jej udało a co nie?... Trudno wyliczyć wszystko czym się zajmowała. Z machowskiej ziemi wyrosła, jak stary dąb zapaściła w nią korzenie i wyrwać ich nie sposób, za skarby świata nie można. Miasto nigdy nie podobało się Marysi. Na początku do Baranowa, do brata Władka jeździła. Tam mieszka jej siostra Kasia i tam było dużo zieleni, która jej rodzinny Machów przypominała. W Baranowie znalazła też kilka zdolnych i chętnych kobiet i zespół obrzędowy z nimi założyła. Znowu po Polsce jeździły i na scenie pokazywały jak to dawniej na wsi bywało. Siostra Kasia dzielnie jej w tym wszystkim pomagała. Teraz nie ma już Władka, Kasia owdowiała i na zdrowiu podupadła. Z zespołem kontakty się urwały, bo i Marysi sił ubyło. Przecież to już osiemdziesiąt dwie „wiosny” ma za sobą!... Patrzy więc w okno małego, ciasnego miejskiego mieszkania i wzdycha, i płacze za przeszłością.

Przez całe pracowite życie nazbierała Marysia dyplomów, odznaczeń. Jest wśród nich Złoty Krzyż Zasługi, są odznaki – „Zasłużony dla województwa tarnobrzesckiego”, „Zasłużony dla Miasta”, „Zasłużony Działacz Kultury”, „Medal Oskara Kolberga”, nagroda i „Medal im. Franciszka Kotuli”, pierwsza nagroda za śpiewanie w Kazimierzu na Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych itd... Bywa u niej często radio, czasem też i telewizja, prasa. Nie jest to jednak dla Marysi najważniejsze. Dyplomy, odznaczenia nie cieszą jej tak, jak to, że sprawy przywoływane z przeszłości ma jeszcze komu przekazać, że to, co sama ukochała – zdołała uchronić przed zapomnieniem, że tego, co umie, nie zabierze do grobu...

Na występy, spotkania, kiermasze sztuki ludowej Marysia ubiera się zawsze w stary, wysłużony strój regionalny (lasowiacki), który po babce czy prababce odziedziczyła. Kiedy się ją widzi taką całą w bieli, w sznurach koralu na szyi – nie sposób zapomnieć, że był kiedyś Machów. Bo tamten Machów żyje w niej, w każdym jej słowie, w każdym pająku, wycinance, bibułkowym kwiatku...

Całe życie ochraniała, przywoływała z przeszłości to, co najlepsze, najpiękniejsze. Jeszcze i teraz na jej skinienie wracają tamte lata, tamten świat błędów, południc, mamun, czarownic, tamto echo z machowskiego lasu, tamten śpiew znad Wisły... Tylko Machów wrócić jakoś nie chce...

OSTATNI Z MACHOWEM SIĘ ROZSTAŁ

W wiosenne wieczory, kiedy jabłoniowy kwiat opadać zaczynał a liliowy płomień bzu dojrzewał pod ścianami domów w ogródkach, niosło się przez wieś, przez pola, przez łąki, aż do samej Wisły, machowskie śpiewanie. Józek Zych i Józek Sawarski na skrzypcach przygrywali. Czasem też i dziadek Kalinka zabłądził do nich ze swoją fujarką wierzbową i muzykować pomagał...

„Dziewczyny, dziewczyny, dziewczyny, dziweczki – czyście nie widziały mojej magiereczki?...” – pytali piosenką chłopcy. Dziewczyny odpowiadały: „Widziałyżeśwa ją, po Wiśle płynena. Chciałyśwa ją złapać, ale utonena...”

Wiele było tych tęsknych zapytań i odpowiedzi, wiele radości i smutku w każdym słowie, w każdej nutce piosenki..

*Ni mom nic, ni mom nic
i o nic nie stoję,
ino to, co kochom
- żeby było moje...*

*Ni mom nic, ni mom nic
- ino lice w garści,
ino te konisie, co są jedny maści...*

- Ta piękna piosenka nie wiadomo dlaczego przypomina mi się, kiedy spotykam pana Jana Świątkę. Nie wiem dlaczego, kiedy nucę tę melodię, widzę właśnie jego, tylko jego... Od kiedy go zapamiętałam, nigdy nie rozstawał się z końmi i wozem. „Jasia Świątkę inaczej wyobrazić sobie nie można jak tylko z wozem zaprzężonym w dwa konie kasztanki... On bez koni – jak bez ręki... Jakby tylko do tego jeżdżenia był stworzony. Jakby mu te konie na całe życie zostały przypisane” – mówią ludzie i mają rację. Machowa nie ma, piosenek już nikt nie śpiewa, a Świątek jak końmi jeździł – tak jeździ dalej. W Machowie, na „Kolonii” mieszkał. Od tego miejsca dziś zaczyna się kopalnia. I śladu już żadnego nie ma po tamtym podwórku, po tamtych budynkach, pośrodku przed domem, gdzie kwitły kolorowe kwiatki...

Pięcioro ich w domu było, a Jan najstarszy. Ziemi nigdy się nie bał. Od młodości ją obłaskawiał, od świtu do wieczora tyrał. Ręk i potu nie żałował, żeby chleba starczyło w domu dla wszystkich.

I przyszła siarka. Trzeba mu było odejść, tak jak wszystkim machowiakom, trzeba było życie zacząć na nowo... Trzeba było zostawić wszystko, czego się własnymi dziesięcioma palcami dorobił, dochrapał. Trzeba było odejść na zawsze.

Żona Jadwiga mówi dziś: „Do bloku nie poszliśmy, bo jakże by mąż bez koni wytrzymał?... On przecież bez nich żyć by nie mógł! A Jan gładzi grzywę poczciwego kasztanka i odzywa się: „Pewnie, że bym nie wytrzymał... Tylko te konie mi zostały. Jakbym do bloku poszedł, do miasta – cóż bym tam robił? Może do siarki, do łopaty?... Nie, szkół żadnych nie ukończyłem, w roli pracowałem, ziemię kocham. Jak się trzeba było z Machowa wynosić – strach mnie obleciał, że przyjdzie mi z końmi się rozstać. Mieliśmy wtedy czworo małych dzieci. Trzeba było jakoś żyć. W mieście byłoby nam trudno. Kupiliśmy mały drewniany domek w Tarnobrzegu, przy ulicy Granicznej. Wyremontowaliśmy, przeprowadziliśmy się i nieźle nam się tu mieszka”.

Kiedy w latach pięćdziesiątych na machowskich polach przybywało wiertniczych szybów – pan Jan woził tymi swoimi konikami sprzęt wiertniczy, rury, materiały. Całe dziesięć lat u wiertaczy wozakował. Kiedy zaczęto budować pierwsze hale kombinatu – był także i tam. Od rana do wieczora pracowały poczciwe koniska, od świtu do nocy ich pan lejce w dłoniach zaciskał.

Świątkowie ziemi mieli mało, więc to zarobkowanie końmi było właściwie głównym źródłem ich utrzymania. A pan Jan jeszcze do dziś z wozakowania nie zrezygnował. Z Granicznej do miasta blisko. A i ludzie tu przecież nie obcy, bo i z tej samej parafii. Choć za Machowem tęsknota czasem bierze, to jednak łatwiej tu wytrzymać niż gdzieś w innym miejscu. Miechocińscy ludzie nie tacy źli, a jak się do miasta pójdzie, to na każdym kroku machowiaków spotkać można.

Świątkowie wyprowadzili się z Machowa jako ostatni. „To było w 1972 roku, tydzień przed Zaduszkami – mówi pan Jan. – Wcześniej, gdzieś w żniwa, poszedł Kaziu Mierzwa do bloków, potem Święcicczy wynieśli się za Wisłę... Na Kolonii koparka prawie na podwórko mi wchodziła. Przenieśliśmy się więc na Łaz. Zamieszkaliśmy w domu po Kapuśniakach. Trwało to wszystko parę miesięcy. Musieliśmy przecież doprowadzić tamto nowe gospodarstwo do porządku, musieliśmy się jakoś urządzić na tej Granicznej, żeby móc tam mieszkać”.

Smutno wtedy w Machowie było, dziko, nieprzyjemnie. Gruz po zburzonych domach, powycinane sady, opustoszałe pola, łąki... Wiatr tylko hulał po rozstajnych drogach, podrywał kłęby piachu i pyłu, dopadał krzywych wierzb i szarpał nimi, targał...

Domek przy ulicy Granicznej całkiem nieźle wygląda. Podwórko też do porządku doprowadzone. Tylko, że w tym nowym gospodarstwie pana Jana ani piędzi ziemi nie było. Na początku to jeszcze w Machowie trochę uprawiał, ale weszły spychacze, koparki i trzeba było się zbierać. Dzierżawi więc trochę, żeby ten

kawałek ziemniaków zasadzić i odrobinę owsa dla koni zasiał. Dzieci dorosły. Trzy córki – Tereska, Gienia i Kazia – za mąż wyszły, własne rodziny mają, poszły z domu. Syn Wiesiek też już dawno stał się dorosły i samodzielny... Smutno tak i samotnie, ale przecież oni do takiej samotności już się przyzwyczaili. Bo z Machowa przecież poszli, kiedy tam już żywej duszy nie było...

Pracowite życie pana Jana płynie między domem i pracą, a zawsze w nim są te wierne, pocziwe koniki „jednej maści”... I jeszcze trzeba dodać, że razem ze Świątkami pożegnał Machów dziadzius Kalinka. Choć to byli dla niego prawie obcy ludzie – tak sobie ich upodobał, że na zawsze do nich przystał. Od rodziny w Stalach uciekł i wracać tam za żadne skarby nie chciał, bo u Świątków nikt mu krzywdy nie robił. Szanowali go, troszczyli się na co dzień, by głodny nie był. U nich to właśnie długi swój żywot dokończył, oni to wyprawili go w tę ostatnią drogę, z której nikt już nie wraca.

Nie ma Machowa. Zniknęły pola i łąki. Odszedł dziadzius Kalinka ze swoją muzyką wyczarowywaną z wierzbowej fujarki... Tylko Jaś Świątek, jak dawniej konikami jeździ... I pewnie dlatego tak bardzo mi pasują do niego słowa tamtej piosenki. Pewnie dlatego nikt go nie potrafił zapamiętać inaczej na machowskich drogach.

SIARKOWCY

W Tuszynie nie ma Tworków, Sabatów, Korczaków, Stępnów – są „siarkowcy”. Nawet małe dziecko potrafi wskazać drogę, gdzie mieszkają. Minęło już 30 lat, a oni nadal w tamtej wiejskiej społeczności pozostali siarkowcami. I choć nie było żadnych nieporozumień, zazdrości, zawiści – w jakiś sposób byli i są izolowani. Przyszli przecież jako obcy, dostali ziemię, na którą może wielu miejscowych miało ochotę.

Pojechałam do Tuszyny w któryś marcowy dzień. Z radością przywitała mnie rodzina Tworków. „Co jeszcze zostało z naszego Machowa?” – zapytano mnie na początek. A kiedy powiedziałam, że dawno już nie ma „Piekła”, że poszła na taśmociąg „Zimna Woda”, że tam, gdzie była szkoła i „Górka” dawno już wybrano rudę – Tworkowie posmutnieli. Pani Tworkowa ukradkiem łzy fartuchem ocierała zaczęła, choć to już tyle lat minęło i zaraz wyszła do kuchni przygotować herbatę, ale kiedy wróciła – oczy miała mokre i łamał się jej głos. Pan Jan – głowa rodziny – jeszcze był wtedy na tym świecie... On jeden starał się trzymać jakoś i nie pokazywać po sobie, że i jego tęsknota za Machowem także dręczy.

Tworkowie wyjechali z Machowa w 1960 roku. „Na same żniwa przyjechaliśmy do Tuszyny – mówi pan Jan: - Skleciło się jakie takie budynki, żeby było gdzie mieszkać i gdzie bydło trzymać. Nie były różowe te pierwsze lata. Ale któż nam uwierzy?... Niektórzy mówią: O, jakie gospodarze! W Machowie w lepiankach siedzieli, a tu wille mają i czego im więcej potrzeba?... – Tak, domy mamy ładne, owszem. Ale ile nas to kosztowało wysiłku, pieniędzy, latania, załatwiania... Dostaliśmy ziemię za ziemię. Mogliśmy zabrać materiał z rozbiórki machowskich budynków, ale do czegoż on się nadawał?... Z lepianki willi się nie zbuduje, żeby nie wiem jak się chciało. Pieniądzy też nam siarka nie nadawała tyle, żebyśmy mogli pozwolić sobie na luksusy. Żeby wykończyć postawiony dom – musiałem pójść do pracy. Przyjąłem się do MPGKiM w Mielcu i przepracowałem tam 22 lata. Z samej ziemi wyżyć się nie dało. Kiedyś przyszli do Tuszyny, zastaliśmy zaniebane pola, prawie ugory. Było tego 18 ha. Podzielono to między 8 machowskich rodzin. Mnie przypadło 2,06 ha. Ale ziemia nie taka jak w Machowie – trzecia, piąta klasa... Dorabialiśmy się z żoną własnymi rękami na tym skrawku pola. Dzieci były wtedy jeszcze małe. Dużo pomagała nam babcia, matka żony. Ludzie w Tuszynie patrzyli na nas trochę bokiem. Wiadomo, przecież byliśmy obcy. Potem się przyzwyczaili. Czuję jednak, że nigdy nie wrośniemy w tę ich tuszyńską społeczność. I zawsze, dopóki żyć będziemy, ten podział na tuszyńsiaków i siarkowców zostanie. Choć pomagają teraz, choć się przyjaźnią z nami, choć uznali nas już dawno za wsioowych, to jednak pozostaniemy obcyymi.”

Wokół domu rosną drzewa. „Zasadziliśmy je tutaj – mówi pani Bronisława Tworkowa – zaraz po przeprowadzce. Przez 3 lata smażyliśmy się w słońcu w upalne dni lata. Przyjechaliśmy przecież na szczerze pole, na pustkę. Nie było ani odrobiny cienia. Pot się z nas lał strumieniami, mordowaliśmy się w tym skwarze, „lepiliśmy” to nasze rodzinne gniazdo po kawałku, po odrobinie... Dziś to może nam i zazdrosczą, ale czy pamiętają tamte nasze „cygańskie” lata?...”

Tworkowie niechętnie mówią o terażniejszości. W nich ciągle jeszcze żyje Machów, jeszcze nie wyszli z czterech ścian maleńkiego domku na „Górcie”, jeszcze słyszą dzwonek „pod Zbiegiem”, jeszcze smakuje im zimna jak lód woda z gromadzkiej studni... „Śmieją się z nas ludzie, że tak za Machowem tęsknimy – mówi pani Bronisława. – Zrozumieć nas może tylko taki jak my. Taki, który raz na zawsze musiał Machów opuścić i nie ma możliwości powrotu. Bo tam przecież zostawiliśmy serca, tam wrośliśmy korzeniami, jak te stare grusze na podwórku. Tam minęło nasze dzieciństwo i młodość, tam były lata dobre i złe. Cóż z tego, że tu mamy ładniejsze domy, że tu może nam lepiej?... To przecież nie jest Machów!

Pamiętam pierwsze zebranie – opowiadał pan Jan. – Dyrektor Orzechowski powiedział wtedy, że jeśli sobie poszukamy takiego miejsca, w którym cała wieś się zmieści, to da się przenieść Machów w całości. Wybudują nas, dadzą nam klucze do mieszkań... A myśmy się jeszcze łudzili. A guzik! – mówiliśmy. Co nam zrobią? Z ziemi się nie ruszymy, bo nasza. Siłą nas nie wezmą. A potem przyszedł dzień, kiedy wreszcie zrozumieliśmy, że nasz upór nic tu nie znaczy. Wyplacili nam pieniądze (tyle, że ledwo wystarczyło na po-

stawienie budynków w surowym stanie), dali trochę ziemi, zapewnili transport do przewozu „majątku” i trzeba było się wynosić. W Machowie nam się nie przelewało, nie należeliśmy do najbogatszych, ale jakoś się żyło. I choć w książkach i gazetach piszą, że tam bidusia była, to my do tej „bidusi” tęsknimy i tęsknić będziemy do końca życia. Bo ta machowska nędza to jak nasza własna skóra, której wyzbyć się nie sposób. Gdyby się dało – dziś byśmy tam wrócili.

W Tuszynie mieszkał także mój brat – Stach. Parę lat tylko wytrzymał. Sprzedał potem majątek i w rodzinne strony powrócił. W Miechocinie się osiedlił. Dwa razy musiał przeprowadzać się z całym dobytkiem, ale w Miechocinie jakoś im raźniej było...”

Minęło przeszło 30 lat od tamtego dnia, kiedy Tworkowie opuścili Machów. Zmieniło się wiele. Dzieci podorastały. Zuzia ma już dorosłą córkę. Tadiusz, który jako sześciolatek opuszczał Machów, dziś jest nauczycielem fizyki w Przecławiu. I wydawać by się mogło, że w pamięci tamtego sześciolatka niewiele utrwaliło się machowskich wspomnień... A jednak, Tadzik Machowa nie zapomniał. Widzi go tak, jak wtedy, kiedy z chłopakami z „Piekła” i „Górki” biegał po machowskich polach, łąkach, bawił się w chowanego, zaglądał przez szparę w płocie na podwórko sąsiada... „Czy wiesz kto to jest Jaś Pałeczka?” – pytam. „Oczywiście, to mój ojciec – odpowiada Tadek. – Nazywali go tak w Machowie, bo przecież był „muzykantem” i na bębnie grywał...”

Nie ma już Jasia Pałeczki – Tworka. Odszedł nagle i niespodziewanie... Nie ma też jego brata Stacha, który z Tuszymy do Miechocina uciekł... Twarze machowiaków mieszkających w Tuszynie jakoś dziwnie nie pasują do tych miejscowych. Choć minęło ponad 30 lat, w oczach pozostał nadal jakiś smutek, jakaś wieczna tęsknota za tym, co dawno przeszło bezpowrotnie. I tego smutku za żadne skarby zagłuszyć, zasłonić się nie da. „Nie tylko o nas – mówi Tworkowa – ale i o tamtych w Zbydniowie i w Baranowie opowiadają ludzie, że się „odkuliśmy”, że z dziadów siarka zrobiła gospodarzy i bogaczy, że nigdy tego w Machowie byśmy nie mieli... Z tymi bogaczami to przesada. Że nam jest trochę lepiej materialnie niż w Machowie – to fakt. Ale... nigdy nie będziemy szczęśliwi na tej ziemi. Bo tylko tamta, oswojona rękami naszych przodków, wypieszczona dłońmi naszych dziadków i ojców do ostatniej skiby, do ostatniej grudki – była nam przyjazna.”

TYLKO WIATR POD NIEBEM GONI

„Słyszeliśmy, że w *Siarce* pisze o Machowie. Przyślij nam choć jedną gazetę, choć parę zdjęć. Szkoda, że książki nie napisałaś, bo może prędzej moglibyśmy ją dostać. Machów to przecież kawał naszego życia. Samo nam się płacze, kiedy o nim myślimy tu wygnani... Ty tam podobno i o dziadku Kalince, i o Jasiu Matyce, Julku Rawskim, i o innych piszesz... Przyślij nam, niech i my na trochę do Machowa wrócimy...” – pisali do mnie machowiaczycy z odległych stron, kiedy w naszej gazecie zaczęłam zamieszczać serial pt. *Zanim przyszła siarka*. I posyłałam gazety, pisałam listy, odbierałam telefony. Próbowałam pokazać to, co najciekawsze, najcenniejsze, godne ocalenia. Nie na wszystko starczyło czasu a przede wszystkim miejsca. Może zbyt emocjonalnie podchodziłam do tematu, ale nie potrafiłam inaczej, bo przecież sama jestem machowianką i w krwi zawsze płynąć mi będzie Wisła, krążyć szum traw, szelest wiosennych liści, zapach jabłoniowego kwiatu. Zawsze w pamięci mieć będę zgarbione wierzby nad „Strugą”, szerokie pola a moje stopy nigdy nie przywykną do dróg, którymi chodzę... Bo oswoiłam się tylko z tamtą drogą, która wiodła przez moją wieś...

Nie wiem, czy udało mi się choć trochę przybliżyć Wam, Drodzy Czytelnicy, tę wieś, której już nie ma, a o której zapomnieć się nie powinno. Nie umiem powiedzieć, czy zrobiłam to dobrze, czy źle. Oceńcie sami.

Zaprosiłam Was, Drodzy Czytelnicy, na kilkanaście wycieczek do Machowa, poprowadziłam przez drogi, dróżki i ścieżki, otworzyłam przed Wami okna i drzwi domów...

Dziś, kiedy tego wszystkiego już nie ma, takie wspomnienia pisze się inaczej. Bo w pamięci zwykle łatwiej zatrzymuje się to, co piękne i dobre... O złym – chce się jak najszybciej zapomnieć. I zapomina się. Może zbyt różowo wymalowałam tamten Machów, może czasami wyolbrzymałam coś, co było najnormalniejszą w świecie sprawą... Nie potrafiłam inaczej, bo wiem, że inni machowiaczycy w tamte lata patrzali tak samo jak ja.

Jestem wdzięczna wszystkim, którzy mi tę wędrówkę po Machowie ułatwili. Dziękuję serdecznie za zdjęcia, listy, telefony, opowieści, rozmowy.

Cieszę się, że moje pisanie nie przeszło bez echa. Odgłosy były różne. Jedni chwalili, inni ganili – tak przecież zawsze bywa. Były telefony z pretensjami: „Kiedy skończy się ta saga rodu Kozłów?... Za tę gazetę się płaci i chcielibyśmy przeczytać w niej coś ciekawego...” Na pytanie: „A o czym ciekawym chciałaby Pani przeczytać?” – usłyszałam odpowiedź – „Tyle rzeczy dzieje się w zakładzie, w polityce...”

Zakład, polityka, moda, pogoda... – wszystko, byle nie „saga rodu Kozłów”... Owszem pisałam o Kozłach, bo tych było w Machowie chyba najwięcej. Stach Kozioł „Pularus”, Tomek Kozioł, Jasiek „Kolera”, Józek, Tadek, Franek, Władek, Stefan „Bartek”, Czesiek, Gienek, Wojtek i jeszcze paru innych Stachów, Franków, Taków i Władków... I na dodatek, tylko nielicznych z nich łączyło pokrewieństwo.

Nie piszę tego, by się usprawiedliwiać; chcę przyznać rację tym, którzy zarzucali mi, że o swojej rodzinie piszę. Tak, dla mnie machowiaczycy to jedna wielka rodzina i każdy z nich jak brat i siostra... Dla mnie nie było

i nie ma podziału na swoich i obcych. Dlatego pisałam „rodzinnie”. Myślałam i myślę o nich, jak o tych najbliższych sercu, tych, którzy z tej ziemi, co i ja wyrosli, pod tym samym niebem mieszkali.

Czas pożegnać się z Machowem, zakończyć wędrówkę po polach, łąkach, drogach...

Był Machów – nie ma Machowa... Nie ma sadów ni łąk kwitnących... Nie ma Kozłów, Grębówców, Farbiszów, Tęczów, Janików, Pańczyków, Mortków, Sawarskich, Jestałów, Bojdów, Fudałów itd. Nie ma Machowa i nie będzie. Był wielki rozmach, wielkie nadzieje, wielki dołek w ziemi. Dołka też nie będzie. Dolek zasypią, zaleją wodą. Ma być wielkie jezioro. Trzeba było trzydziestu lat, żeby się przekonać, że dołek w ziemi za kosztowny, że to była pomyłka. Dolek zaleją wodą. Może kiedyś (jeśli wszystko się uda i nie będzie smrodu siarkowodoru) nad jego brzegami powstanie ośrodek rekreacyjny...

Nie ma Machowa i nie będzie. Zostały tylko łąki, które – gdyby je pozierać – wystarczyłyby pewnie, by kopalniany dołek napęłnić...

Nie ma Machowa i już nigdy nie będzie. Tylko w sercach dawnych jego mieszkańców fioletem i bielą wybuchają będą tu wiosenne bzy i jaśmin w ogródkach, jabłoniowy kwiat pachnącym śniegiem okryje ziemię... W snach odzywać się będą żaby w stawach, sadzawkach, jeziorach. Do tej muzyki, jak zwykle, dołączy z koncertem słowik w nadwiślańskich zaroślach... W czerwcu będzie słodko pachnieć siano, w lipcu rozłożą się zboża na polach... Jesień pomaluje świat na złoto, zima pobiele, wysrebrzy... Ale w Machowie już tego nie będzie. Taki Machów tylko we wspomnieniach został, tylko przyśnić się może. I śni się machowiakom co noc. I nie jeden tęskni po mickiewiczowsku: „Ile cię trzeba cenić – ten tylko się dowie, kto cię stracił...”

W pierwszy dzień listopada, jak co roku, przyjadą machowiaczy na miechociński cmentarz. Przyjadą odwiedzić swoich najbliższych, którzy tu zostali – na zawsze. Spotkają się, łzę cichą obetrą. Nie, nie cmentarna cisza tę łzę wycisnie...

Jesień... Wiatr tylko pod niebem goni i westchnienia z odległych stron przynosi, westchnienia prosto z serca... I na wiślanym brzegu je zostawia przy drogach jak chusty tęsknoty...

Tadeusz Zych

POWIAT TARNOBRZESKI W LATACH 1944 - 1956

Pod takim tytułem ukazała się nowa pozycja książkowa wydana przez **Bibliotekę Tarnobrzесkich Zeszytów Historycznych**, pod redakcją **Zbigniewa Nawrockiego i Tadeusza Zycha**. Przygotowanie do druku i projekt okładki: **Dział Wydawnictw i Informacji Tarnobrzесkiego Domu Kultury**. Druk: **Wydawnictwo Samorządowe Sp. z o.o. „Tygodnik Nadwiślański” w Tarnobrzegu**.

We wstępie autorstwa **Tadeusza Zycha** czytamy:

Pomimo widocznego w ostatnich latach wzrostu zainteresowania historią „małych ojczyzn”, są jednak wciąż obszary pozbawione swojego historycznego opisu. Dotyczy to szczególnie badań nad historią najnowszą, która w okresie PRL-u traktowana była bądź jako temat tabu, bądź jako pole ideologiczno-politycznej rozgrywki.¹

Taki stan dotyczy także badań nad historią najnowszą powiatu tarnobrzесkiego. Poza kilkoma artykułami o charakterze publicystycznym brak jakichkolwiek prób całościowego opisu rzeczywistości lokalnej w pierwszych latach po zakończeniu okupacji niemieckiej na tych terenach. Jedynym rozpoczętym polem opisu jest tematyka oporu społecznego wobec nowej komunistycznej władzy, z akcentem na tworzenie się i działalność organizacji konspiracyjnych o charakterze niepodległościowym.²

Prezentowana praca będąca zbiorem artykułów, każdy o odrębnej tematyce, po raz pierwszy próbuje w miarę całościowy sposób opisać dzieje powiatu tarnobrzесkiego w latach 1944-1956. Mimo, iż dotyczy

¹ Przykładem ideologizowania historii i fałszowania jej na polityczny użytek są m.in. prace: W obronie władzy ludowej 1944-1952, red. T. Walichnowski, Warszawa 1985, E. Olszewski, Początki władzy ludowej na Rzeszowszczyźnie 1944-1947, Lublin 1975, J. Polański, PPR w Tarnobrzесkiem 1942-1948, Rzeszów 1982.

² Pośród prac, które ukazały się w ostatnich latach i zawierają informacje dotyczące powojennych dziejów powiatu tarnobrzесkiego warto wymienić m.in.: A. Zagórski, D. Garbacz, W kleszczach czerwonych, Rzeszów 1991; Z. Nawrocki, Zamiast wolności. UB na Rzeszowszczyźnie 1944-1949, Rzeszów 1998; K. Kaczmarek, Podziemie narodowe na Rzeszowszczyźnie 1939-1944, Rzeszów 2003; A. Daszkiewicz, Referendum i wybory w województwie rzeszowskim 1946-1947, Rzeszów 2000; G. Ostasz, „Wolność i Niezawisłość”. Okręg Rzeszów, Rzeszów 2000; S. Socha, Czerwona śmierć czyli narodziny PRL, Stalowa Wola 2000; J. Draus Stronnictwo Pracy w województwie rzeszowskim 1945-1950, Rzeszów 1998.

jedynie lokalnego wycinka powojennej historii Polski, opisuje jednak procesy i zjawiska, które były typowe i zachodziły w skali całego kraju.

Ramy czasowe pracy obejmują swym zakresem pierwsze 12 lat tzw. Polski Ludowej i rozciągają się pomiędzy końcem niemieckiej okupacji, a końcem zjawiska, które większość historyków mniej lub bardziej precyzyjnie nazywa stalinizmem. Pomimo tego krótkiego odcinka czasu, wydarzenia jakie wtedy się rozegrały były decydujące dla dalszych losów Polaków. „Wyzwolenie” przechodzące w nową okupację, brutalna walka komunistów o władzę, nadzieje związane z Mikołajczykiem, referendum i wybory w 1947 roku, oraz montaż systemu totalitarnego odwzorowanego na sowieckim to najważniejsze wydarzenia pokazujące ogromną dynamikę tamtego procesu, jak też jego wagę dla dziejów PRL.

Zawarta w tytule nazwa „powiat tarnobrzesci” odnosi się do obszaru administracyjnego funkcjonującego do 1939 roku, a który został odtworzony po zakończeniu wojny, a w latach 50-tych nieznacznie zmienił swoje granice. Teren ten co najmniej od końca XIX wieku posiadał własną specyfikę ukształtowaną głównie pod wpływem bardzo silnego tu ruchu ludowego. Ta odrębność i poczucie tożsamości lokalnej miały niewątpliwie wpływ na przebieg opisanych w pracy wydarzeń.³

Rozdziały pracy składają się z 11 artykułów tworzących trzy główne jej płaszczyzny. Pierwszą jest opis władz komunistycznych i wspierającego ich aparatu terroru na terenie powiatu. Autorzy prezentują genezę i działalność PPR na tym terenie, tworzenie się PUBP i MO, oraz wykaz funkcjonariuszy PUBP w Tarnobrzesciu. Drugą reprezentowaną płaszczyzną są formy działania władzy komunistycznej, w których ujawnia się jej charakter. Temu poświęcony jest m.in. opis kolektywizacji czy walki z Kościołem. Trzecim wiodącym zagadnieniem jest opis postaw społeczeństwa wobec nowej narzuconej siły władzy; postaw różnorodnych, od zdrady i zaprzaństwa po bohaterstwo i heroizm. O tym traktują m.in. artykuły o konspiracji młodzieżowej czy też historii WiN i ruchu narodowego na terenie tarnobrzesciego powiatu.

Opis tych wydarzeń byłby niemożliwy, gdyby nie dostęp do źródeł, jakie jeszcze kilkanaście lat temu były poza zasięgiem historyka. Źródła te dotyczące głównie historii PPR, PZPR, czy aparatu bezpieczeństwa, zgromadzone w Archiwum IPN w Rzeszowie obok dokumentów z rzeszowskiego Archiwum Państwowego, często po raz pierwszy prezentowane, są główną bazą faktograficzną niniejszej pracy. Książka ta nawiązuje tematycznie do konferencji naukowej, jaka odbyła się w marcu 2004 roku w Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej im. prof. Stanisława Tarnowskiego, a której współorganizatorem obok wymienionej szkoły były: IPN Oddział w Rzeszowie i Tarnobrzescie Towarzystwo Historyczne.

Mamy świadomość, że prezentowane artykuły nie wyczerpują w całości poruszanej tematyki. Wyrażamy jednak nadzieję, iż staną się zaczątkiem badań nad pełną monografią powojennej historii powiatu tarnobrzesciego.

Książkę można nabyć w Miejskiej Bibliotece Publicznej i Tarnobrzescim Domu Kultury. Zapraszamy!

Renata Flaszka

VIII Plener Artystyczny – Tarnobrzeg 2005

Plener odbywał się od **15 do 23 sierpnia br. w Tarnobrzegu**. Jego głównym organizatorem od ośmiu lat jest **Tarnobrzesci Dom Kultury**. W bieżącym roku współorganizatorami byli: **Ośrodek Sportu i Rekreacji w Tarnobrzegu oraz Ogólnopolskie Stowarzyszenie Twórcze „Wiklina”**.

Tej edycji imprezy wsparcia finansowego udzieliło Ministerstwo Kultury w Warszawie. Odbyło się to w ramach Programu Operacyjnego „Rozwój Inicjatyw Lokalnych”, za co dziękujemy.

W plenerze uczestniczyli profesjonalni artyści plastycy z Polski i zagranicy: **Kamila Wiśniewska, Katarzyna Miller i Andrzej Grenda** (Łódź), **Daniel Cybula** (Skierniewice), **Iwa Kruczkowska** (Zabrze), **Marta Zawadzka** (Opatów), **Ewelina Tużnik** (Ożarów), **Anna Popowa-Chyżyńska** (Łuck – Ukraina), **Kamil Kamyś** (Tarnobrzeg), **Narcyz Piórecki** (Przemyśl), **Stanisław Dziubak** (Tarnobrzeg).

Plenerowi towarzyszyły warsztaty wikliniarskie prowadzone przez komisarza pleneru Stanisława Dziubaka – prezesa Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Twórczego „Wiklina”. Odbyły się one w Tarnobrzescim Domu Kultury.

Podczas pleneru stworzono kolekcję prac malarsko-rysunkowych na papierze przedstawiających najbardziej interesujące motywy naszego miasta i jego okolic. Kilkadziesiąt powstałych prac młodych utalentowanych twórców oraz wiklinowa rzeźba Stanisława Dziubaka są doskonałą formą promocji Tarnobrzegu. Na pleneru zaprezentowano na wystawie od 23 sierpnia do 15 września br. w Galerii Tarnobrzesciego Domu Kultury. Poplenerowa ekspozycja spotkała się z zainteresowaniem wielu zwiedzających ją osób z Tarnobrzega i innych miejscowości, a także w informacjach prasy lokalnej.

³ T. Zych, ZWZ-AK w obwodzie tarnobrzescim 1939-1945, Tarnobrzeg 2004, s. 10-16.

Maria Bobrowska

STANISŁAW MITYK I JEGO MALARSTWO

Artysta malarz, pedagog, absolwent Instytutu Wychowania Artystycznego UMCS. Uprawia malarstwo olejne, pastel, akwarelę, rysunek i grafikę. Otrzymał I nagrodę w dziedzinie grafiki na II Biennale Grafiki Nauczycielskiej w Łodzi. Autor kilkudziesięciu wystaw indywidualnych i zbiorowych, m.in. w Tarnobrzegu, Mielcu, Zamościu, Łodzi, Lublinie, Staszowie, Chełmie.

„Artysta to najdoskonalsza forma człowieka”. Aforyzm ten przyszedł mi na myśl podczas oglądania obrazów Stanisława Mityka. Artysta – pedagog, człowiek o specyficznej wrażliwości realizuje się poprzez twórczość własną i działalność pedagogiczną.

Proces twórczy artysty plastyka to rodzaj komunikacji pozawerbalnej. Kontemplując jego dzieła, analizujemy je wielokierunkowo, rzeczowo, dociekając „co autor miał na myśli”, rozpoznając tematykę, przekaz symboliczny, przesłanie etyczne, nastrojowość etc. – osiągnięte przy pomocy najrozmaitszych środków wyrazu artystycznego. Doskonaleniu odpowiednich środków przekazu artysta oddaje się przez całe swoje życie. Ciągłe niezadowolenie z efektów zmusza go do nieustannych poszukiwań. Nie ma i nie będzie recepty na doskonałe dzieło sztuki. Twórczość artystyczna jest bowiem procesem indywidualnym, zmiennym, niesłychanie złożonym, zdeterminowanym przez nieograniczoną ilość wielorakich czynników.

Efektom wieloletnich poszukiwań Stanisława Mityka była wystawa jego malarstwa bazującego na wnikliwej obserwacji pejzażu, łączącego w sobie bardzo osobisty przekaz emocjonalny z elementami metafory. Wystawa składająca się z 20 obrazów olejnych i 11 akwarel była eksponowana **od 27 kwietnia do 29 maja 2005 r. w Galerii Tarnobrzесkiego Domu Kultury.**

Katarzyna Pisarczyk

UWOLNIĆ KOLOR

W Galerii Sztuki Współczesnej Biura Wystaw Artystycznych w Sandomierzu 10 czerwca 2005 r. została otwarta wystawa DAGMARY KWIATEK „Uwolnić kolor”.

Dagmara Kwiatek, ur. 8 XI 1972 r. w Krakowie. W latach 1991-1996 studiowała na Wydziale Malarstwa ASP w Krakowie w pracowniach profesorów: J. Nowosielskiego, L. Misiaka, J. Ząbkowskiego, u którego obroniła dyplom w 1996 roku, oraz w pracowniach: Tkaniny Artystycznej u prof. R. Kwietnia i Technik Fotograficznych u prof. J. Bransch-Walczak. Brała udział w 16 wystawach indywidualnych (Kraków, Warszawa, Seckau - Austria) i 17 zbiorowych (Kraków, Legnica, Kopenhaga, Taipei).

Dagmara Kwiatek zaprezentowała swoje najnowsze prace, zrealizowane pod wrażeniem wyprawy do Indii, kraju, którego oddalenie mierzymy nie tylko odległością na mapie, ale gdzie żyją inni ludzie, gdzie czas biegnie innym torem. Artystka jest zauroczona odmiennością kultury, filozofii, mentalności, odmiennością wszystkiego dokoła: ludzi, klimatu, kolorytu, wszystkiego, co warunkuje nasze postawy i sposób w jaki postrzegamy rzeczy zwykle i cały otaczający świat. Nie kopiuje życia, jest obdarzona niezwykłą umiejętnością przełożenia wrażeń i odczuć na język malarstwa, ogromną wrażliwością, która pozwala jej widzieć to, co dla innych jest nierozpoznawalne, a w najlepszym wypadku ledwo odczuwalne, jest obdarzona wrażliwością dziecka, które z lubością maluje zielone słońce, bo tak je widzi. Autorka prostotą, brakiem ozdobników, lapidarnością w ujęciu tematu, a wreszcie kolorem organizuje przestrzeń, nadaje życie zwykłym przedmiotom, wydobywa zakłętę w nich piękno. W jednym obrazie potrafi zamknąć prawdę szczegółu i uniwersalną prawdę o jego idei. Świetlistością barw przekazuje nam swój wewnętrzny świat przeżyć i doznań, przefiltrowany artystyczną ekspresją i wrażliwością. Pozwala mieć nadzieję, że ten świat pełen harmonii i ładu istnieje naprawdę.

Iwona Łukawska

DAWNA WIEŚ SANDOMIERSKA

Stała wystawa etnograficzna ze zbiorów Muzeum Okręgowego w Sandomierzu. Autor scenariusza: Iwona Łukawska, kustosz Muzeum Okręgowego w Sandomierzu; aranżacja: Andrzej Karwat, sandomierski artysta plastyk.

W Muzeum Okręgowym w Sandomierzu, 12 czerwca 2005 roku nastąpiło uroczyste otwarcie wystawy etnograficznej pt. „Dawna wieś sandomierska”, prezentującej wybrane aspekty kultury ludowej (materialnej, duchowej) dawnych mieszkańców ziemi sandomierskiej. Ramy chronologiczne wyznaczone przez obiekty zabytkowe obejmują okres od przełomu XIX/XX wieku po lata sześćdziesiąte ubiegłego stulecia. Obok unikatowej kolekcji ludowej sztuki sakralnej, będącej odwzorowaniem głębokiej sfery duchowej – religijności miejscowej społeczności, wyeksponowano wewnątrz dawnej izby mieszkalnej, w obrębie której kwitło życie rodzinne, towarzyskie, społeczne.

Zgromadzone narzędzia i przedmioty związane z uprawą roli, hodowlą zwierząt gospodarskich, rybołówstwem czy rzemiosłem dawnym odzwierciedlają podstawowe, jak i uboczne zajęcia naszych pradziadów.

Sylwester Łysiak

10 KONKURS PIOSENKI WYGRAJ SUKCES

Tarnobrzesci Dom Kultury i Studio Pro-Media w Tarnobrzegu byli organizatorami 10 jubileuszowej edycji KONKURSU PIOSENKI „WYGRAJ SUKCES”.

Patronat nad konkursem objął PREZYDENT MIASTA TARNOBRZEGA **Jan Dziubiński**.

Celem konkursu jest popularyzacja śpiewania wśród dzieci i młodzieży, kształcenie muzyczne i wokalne, poszukiwanie dzieci uzdolnionych artystycznie. Jest adresowany do wokalistów od 6 do 19 lat. Cieszy się coraz większym zainteresowaniem, docierając zarówno do dzieci i młodzieży z małych środowisk, jak i dużych miast, o czym świadczy wzrastająca z roku na rok liczba uczestników w poszczególnych etapach konkursu.

W bieżącym roku w eliminacjach wstępnych, w 52 ośrodkach w kraju, wzięło udział 2339 wokalistów (13.03-15.04.2005 r.); w eliminacjach regionalnych w 17 ośrodkach – 710 wokalistów (1-31 maja 2005 r.), a w przesłuchaniach finałowych - 125 wokalistów (24-25 czerwca 2005 r., Tarnobrzesci Dom Kultury). Każdy z solistów wykonywał jedną piosenkę konkursową. Uczestnicy konkursu brali również udział w zorganizowanych przez Tarnobrzesci Dom Kultury imprezach towarzyszących takich jak: zwiedzanie zabytków historycznego Sandomierza, wyjazd do Klubu Jeździeckiego „Kamyk”, gdzie była zorganizowana jazda konna oraz ognisko. Ponadto wszyscy mogli wziąć udział w mini recitalu Lory Szafran.

Finałem konkursu był, jak co roku w hali OSiR-u, koncert galowy, na którym wręczono nagrody i ogłoszono werdykt jury. Ponadto imprezami towarzyszącymi były występy uczestników na wolnym powietrzu przy fontannie miejskiej oraz wystawa fotografii **Wacława Pintala** pt. „10 lat Wygraj Sukces”.

Jury 10 edycji Konkursu Piosenki „Wygraj Sukces” w składzie: GRAŻYNA ŁOBASZEWSKA - wokalistka, pedagog, wykładowca Wrocławskiej Szkoły Jazzu, LORA SZAFRAN - wokalistka, wykładowca Instytutu Jazzu i Muzyki Rozrywkowej Akademii Muzycznej w Katowicach, DOROTA MIŚKIEWICZ - wokalistka, piosenkarka jazzowa, kompozytor, autor tekstów, ELŻBIETA BUCZYŃSKA - autor tekstów, pedagog, KRZYSZTOF HEERING - muzyk, kompozytor, aranżer, wykładowca Akademii Muzycznej w Warszawie, MARIUSZ RYŚ - muzykolog, zastępca dyrektora Tarnobrzesciego Domu Kultury, po przesłuchaniu 123 solistów przyznało następujące nagrody i wyróżnienia: **I Kategoria wiekowa:** I miejsce - SANDRA MIKA z Krakowa, II miejsce - KATARZYNA MIEDNIK z Bielawy, III miejsce ex aequo - EMILIA HAMERLIK z Bielawy i BOGNA JAŚKIEWICZ z Koszalina; wyróżnienia: KACPER ANDRZEJEWSKI ze Zduńskiej Woli, WIKTORIA GUNERKA z Koszalina. **II Kategoria wiekowa:** I miejsce - ALEKSANDRA RAŚ z Górek, II miejsce - MAŁGORZATA NAKONIECZNA z Kielc, III miejsce ex aequo - SYBILLA SOBCZYK z Głogowa i JULIA WĘGROWICZ z Otwocka; wyróżnienia: SZYMON BORKOWSKI z Torunia, AGATA GRZEŚKIEWICZ z Lidzbarka Welskiego, DAMIAN KULEJ z Krzepic, SYLWIA MAJKA z Radymna. **III Kategoria wiekowa:** I miejsce - BOŻENA MAZUR z Tarnobrzega (solistka Studia Piosenki Tarnobrzesciego Domu Kultury, instruktor artystyczny Anna Pintal), II miejsce - ALEKSANDRA ZAGOZDA z Turka, III miejsce ex aequo - AGNIESZKA BRENZAK z Bielawy, MAGDALENA ĆWIKLIŃSKA z Władysławowa i PATRYK SITASZ z Jenina; wyróżnienia: MICHAŁ TELKA z Rzeszowa, KRZYSZTOF KOLADA z Legnicy, ANNA SZATYBEŁKO z Malborka, KATARZYNA WYLĘŻEK z Bytomia. **IV Kategoria wiekowa:** I miejsce - EWA KOZOK ze Skoczowa, II miejsce - MARTA FLOREK z Limanowej, III miejsce - ANNA ZASADA ze Słubic; wyróżnienia: MAGDALENA BOCZEK z Chorzowa, SABINA FLISOWSKA z Bielawy, KAROLINA GŁĄB ze Stalowej Woli, PAULINA KIEŁBIK z Łodzi, SYLWIA TARASIUK z Bielska Podlaskiego, MARTA ŻURAWSKA ze Złotowa.

Nagrodę Specjalną - udział w „WYJĄTKOWYCH WARSZTATACH WOKALNYCH” w Rabce otrzymała: MAGDALENA CZAPLIŃSKA z Żuromina.

Grand Prix przyznano: **IZABELI BOREK z Jaszczwi**.

Komisja podziękowała organizatorom i realizatorom za bardzo dobre przygotowanie i sprawne przeprowadzenie Konkursu oraz za stworzenie uczestnikom finału warunków do jak najlepszej prezentacji.

Szczególne podziękowania należą się **Małgorzacie Grdeń**, kierownikowi Działu Amatorskiego Ruchu Artystycznego TDK, za sprawną organizację konkursu. Dzięki jej zaangażowaniu i koleżeńskiej współpracy z całym zespołem pracowników TDK wszystkie edycje Konkursu Piosenki „Wygraj Sukces” przygotowane były perfekcyjnie.

Renata Flaszka

XIII MIĘDZYNARODOWE KONCERTY ORGANOWE – TARNOBRZEG 2005

7 lipca 2005 r., godz. 19.00, Kościół pw. Św. Barbary

MARCIN MARKOWICZ (Kraków) – skrzypce

ŁUKASZ MIKOŁAJ MATEJA (Kraków) – organy

KRAKOWSKI ZESPÓŁ KAMERALNY: KATARZYNA MATEJA - Vn I, ELŻBIETA ZARĘBSKA - Vn II, BOGUSŁAWA JAGIELNICKA - Vla, FRANCISZEK PALL - V c, BARTŁOMIEJ CHAJDECKI - C b, ŁUKASZ MIKOŁAJ MATEJA - basso continuo, kierownictwo artystyczne

W programie: GEORG FRIEDRICH HÄNDEL (1685-1759) - **Koncert organowy F-dur** op. 4 nr 4, Allegro, Andante, Adagio, Allegro; ANTONIO VIVALDI (1678-1742) - **Le Quattro Stagioni** (Cztery pory roku), **La Primavera** (Wiosna), Concerto in Mi maggiore Allegro, Largo, Allegro, **L`Estate** (Lato), Concerto in Sol minore, Allegro non molto, Adagio, Presto, **L`Autunno** (Jesień), Concerto in Fa maggiore Allegro, Adagio, Allegro (La Caccia), **L`Inverno** (Zima), Concerto in Fa minore, Allegro non molto, Largo, Allegro.

9 lipca 2005 r., 19.00, Kościół OO. Dominikanów

UKRAIŃSKA PAŃSTWOWA CAPELLA CHÓRALNA „TREMBITA” (Lwów)

MYKOŁA KULYK – dyrygent

W programie: **Muzyka cerkiewna:** KYRYLO STECENKO - „**Blahoslowy Dusze moja Hospoda**”; MYCHAJLO WERBYCKI (1815-1870) - „**Anhel wopijasz**”; ARTEMIJ WEDEL (1772-1808) - Concert nr 5 „**Glasom mojim**”, soliści: *Taisija Dziubycz* (S), *Liudmyla Skoruk* (A), *Bogdan Olync* (T), *Igor Kocaba* (B); ARTEMIJ WEDEL (1772-1808) - Concert nr 14 „**Hospody Boze**”, soliści: *Taisija Dziubycz*, *Oksana Prudnyk*, *Bogdan Olync*, *Igor Kocaba*; MYCHAJLO STROKIN - „**Pid Twoju mylist**”, solistka *Jaroslawa Kryloszanska*; DOBRI CHRISTOW - „**Nyni widpuskajesz raba Twojeho Wladyko**”, solista *Igor Kocaba* (B); DMYTRO SMIRNOW (1882-1944) - „**Hwalite Imia Hospodnie**”, solistka *Taisija Dziubycz* (S); STEPAN DIEHTIARIOW (1766-1813) - Concert „**Dnies Chrystos**”, soliści: *Taisija Dziubycz*, *Liudmyla Skoruk*, *Bogdan Olync*, *Igor Kocaba*; PAWŁO CZESNAKOW (1877-1944) - „**Blazen muz**”, solista *Igor Kocaba*; GEORGIJ RJUTOW (1871-1932) - „**Se nyni**”, solistka *Taisija Dziubycz*; MAKSYM BEREZOWSKI (1745-1777) - Concert „**Unser Vater**” (oryginalna wersja w języku niemieckim), soliści: *Taisija Dziubycz*, *Liudmyla Skoruk*; DMYTRO BORTNIANSKI (1751-1825) - Trzy kompozycje na 2 chory: *Bogdan Olync*, *Igor Kocaba* - „**Wkuiste i wydite jako blah Hospod**”, „**W pamiasst wicznuju prawednyku**”, „**Wo wsiu zemliu izyde wiszczanije jich**”.

14 lipca 2005 r., godz. 19.00, Kościół pw. Matki Bożej Nieustającej Pomocy

ROBERT BRODAKCI (Lublin) – organy

W programie: DIETRICH BUXTEHUDE (1637-1707) - **Preludium i fuga g-moll**; JOHANN SEBASTIAN BACH (1685–1750) - „**Vor deinen Thron tret` ich hiermit**”, BWV 668, **Passacaglia c-moll**, BWV 582; MARIAN SAWA (1937-2005) – **Krasnochmielak**; RUED LANGGAARD (1893-1952) - „**W Królestwie Śmierci**” z „**Messis**”; OLIVIER MESSIAEN (1908-1992) - „**Livre du Saint Sacrement**”: VIII „**Ustanowienie Eucharystii**”, X „**Zmartwychwstanie Chrystusa**”.

21 lipca 2005 r., godz. 19.00, Kościół pw. Matki Bożej Nieustającej Pomocy

MIROSŁAW PIETKIEWICZ (Łódź) – organy

W programie: ROMUALD TWARDOWSKI (ur. 1930) - **Tryptyk paschalny** (2005 r.): Ostatnia Wieczerza, Golgota, Zmartwychwstanie; JOHANN SEBASTIAN BACH (1685–1750) - **O Mensch, bewein` dein` Sunde gross**, BWV 622, **Preludium i fuga h-moll**, BWV 544; J. GUY ROPARTZ (1864-1955) - **Introductio et Allegro moderato** (1917); CLAUDE DEBUSSY (1862-1918) - **La Cathédrale engloutie** (Zatopiona Katedra), opr. na organy – Léon Roques; MARCEL DUPRÉ (1886-1971) - **Cortège et Litanie**.

28 lipca 2005 r., godz. 19.00, Kościół pw. Św. Barbary

MAREK SZYDŁO (Wrocław) – baryton

JAN SZYDŁO (Łańcut) – organy

W programie: JOHANN SEBASTIAN BACH (1685–1750) - „**Komm Gott Schöpfer Heiliger Geist**, BWV 631; GIULIO CACCINI (1545-1618) - „**Ave Maria**”; DIETRICH BUXTEHUDE (1637-1707) - „**Passacaglia in d**”; JOHANN SEBASTIAN BACH (1685–1750) - **Aria „Quia fecit mihi magna”** (Magnificat); JOHANN SEBASTIAN BACH (1685–1750) - **Preludium i fuga G-dur**, BWV 541; JOHANN SEBASTIAN BACH (1685–1750), CHARLES GOUNOD (1818-1893) - „**Ave Maria**”; RICHARD WAGNER (1813-1883) - „**Pieśni do gwiazdy**”; RICHARD WAGNER (1813–1883) – **Pilgerchor**; STANISŁAW MONIUSZKO (1819-1872) - „**O Panie co losy ludzkości**”; JOSEPH HAYDN (1732–1809) - **Koncert D-dur na organy i orkiestrę** (transkrypcja Jan Szydło).

4 sierpnia 2005 r., godz. 19.00, Kościół pw. Matki Bożej Nieustającej Pomocy

MARIUSZ RYŚ (Tarnobrzeg) – organy

W programie: JOHANN PACHELBEL (1653-1706) - **Aria Sebaldina** (Hexadordum Apollinis); DIETRICH BUXTEHUDE (1637-1707) - **Tocatta F-dur** BuxWV 156; JOHANN SEBASTIAN BACH (1685-1750) - Chorale: „**Allein Gott in der Höh sei Ehr**”, BWV 662 i 663, **Preludium i fuga Es-dur**, BWV 552, CESAR FRANCK (1822-1890) – **Cantabile**; JOSEPH RHEINBERGER (1839-1901) - **Introdukcja i Passacaglia** z op. 132.

11 sierpnia 2005 r., godz. 19.00, Kościół pw. Św. Barbary

MAGDALENA ZIAJA (Lublin) – sopran

MAREK STEFAŃSKI (Kraków) – organy

W programie: FELIX MENDELSSOHN-BARTHOLDY (1809-1847) - **VI Sonata d-moll** op. 65; WOLFGANG AMADEUSZ MOZART (1756-1791) - **Alleluja z motetu Exultate Jubilate** VV 165; CESAR FRANCK (1822-1890) - **Panis angelicus**; CAMILLE SAINT-SAENS (1835-1921) - **Ave Maria**; DAMIAN STACHOWICZ (1658-1699) - **Veni consolator**; JOSEPH RHEINBERGER (1839-1901) - **IV Sonata a-moll** op. 98, **Tempo moderato, Intermezzo, Fuga Cromatica**.

18 sierpnia 2005 r., godz. 19.00, Kościół pw. Matki Bożej Nieustającej Pomocy

ADAM LULEK (Wrocław) – skrzypce

ROMAN LULEK (Lublin) – organy

W programie: LOTTE BACKES (1901-1990) - **Fantasia de Ascensoine Domini**; GIUSEPPE TARTINI (1692-1770) - **Sonata g-moll, Larghetto affetuoso – Allegro – Grave – Allegro assai**; FLOR PEETERS (1903-1986) - **Wariacje i Finał na temat dawnej pieśni flamandzkiej** op. 20; OLIVIER MESSIAEN (1908-1992) - **Joie et clarite des corps glorieux** z cyklu „**Les corps glorieux**”; JEHAN ALAIN (1911-1940) - **Litanies**.

ORGANIZATORZY:

Tarnobrzесki Dom Kultury

ul. Słowackiego 2

39-400 Tarnobrzeg

tel. (0-15) 822-21-10

Parafia pw. Matki Bożej Nieustającej Pomocy w Tarnobrzegu

Parafia pw. Św. Barbary w Tarnobrzegu

Klasztor OO. Dominikanów w Tarnobrzegu

KIEROWNICTWO ARTYSTYCZNE:

MARIUSZ RYŚ

*Impreza dofinansowana przez Ministerstwo Kultury
w ramach Programu Operacyjnego „Rozwój inicjatyw lokalnych”*

Sylwester Łysiak

JUBILEUSZOWY OKR

16 kwietnia 2005 r. w sali widowiskowej TDK odbyły się eliminacje rejonowe 50. Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego organizowanego przez Tarnobrzесki Dom Kultury. Wzięło w nich udział 25 uczestników szkół ponadgimnazjalnych z powiatów: tarnobrzесkiego, stalowowlskiego i niżańskiego. Młodzież wystąpiła w kategoriach: recytacja, mój teatr wywiedziony ze słowa.

Do eliminacji wojewódzkich wytypowano: **Katarzynę Łazowską** z Zespołu Szkół w Tarnobrzegu, **Annę Zagajewską** z I Społecznego Liceum Ogólnokształcącego w Tarnobrzegu, **Mateusza Warzochę** z Samorządowego Liceum Ogólnokształcącego w Stalowej Woli. Ponadto wyróżniono: **Katarzynę Bator** z I Społecznego Liceum Ogólnokształcącego w Tarnobrzegu, **Barbarę Gołąbek** z Liceum Ogólnokształcącego Nr 1 w Nowej Dębie, **Sandrę Kamińską** z Liceum Ogólnokształcącego w Tarnobrzegu, **Patrycję Kwiatkowską** z I Społecznego Liceum Ogólnokształcącego w Tarnobrzegu, **Katarzynę Waszczuk** z Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Tarnobrzegu.

Wszyscy uczestnicy Konkursu otrzymali dyplomy za udział, a nagrodzeni – książki ufundowane przez Tarnobrzесki Dom Kultury.

Marek Jakubowski, Dariusz Pietrzak

SATYRBLUES PO RAZ SZÓSTY

17 września 2005 roku, już po raz szósty, do Tarnobrzega zjechali miłośnicy muzyki bluesowej. Tarnobrzесki Dom Kultury wypełniły tłumy fanów tego rodzaju gitarowego grania.

Jak co roku, muzyczny program festiwalu zawierał kilka interesujących, różnorodnych propozycji. Rozpoczęła rzeszowska grupa bluesowa KŁUSEM Z BLUESEM pod wodzą **Tomka Kiersnowskiego**, zasilona na tę okazję drugim harmonijkarzem **Tomkiem Kamińskim** K 2. Po nich wystąpiła grupa BOOGIE BOYS - trio młodych, niezwykle utalentowanych muzyków, wirtuozów fortepianu i perkusji, prezentujących show, który wzbudził ogromny entuzjazm widowni. Specjalnym projektem, przygotowanym na finał festiwalu był koncert grupy Pi-eR-2, złożonej z trzech gwiazd muzyki z pogranicza jazzu, rocka i fusion: **Marka Raduli** – gitara, **Wojciecha Pilichowskiego** – gitara basowa, **Tomasza Łosowskiego** – perkusja. Nie zabrakło także scenicznego humoru, w postaci występu kabaretu DKD (Doczekać Końca Dnia) ze Słupska, któremu towarzyszyły gorące reakcje publiczności.

Plastyczną część imprezy wypełniły wystawy: rysunku satyrycznego **Grzegorza Szumowskiego** (znakomite karykatury portretowe) i **Juliana Bohdanowicza** oraz fotografie koncertowe **Andrzeja Staszoka**. Szumowski jest artystą wielokrotnie nagradzanym na całym świecie (około 80 zdobytych nagród). Jest także autorem karykatur do telewizyjnych szopek noworocznych. Zilustrował wiele książek, w tym podręczników szkolnych. Wielokrotnie nagradzane prace Juliana Bohdanowicza znają czytelnicy licznych tytułów prasowych, m.in. „Tele Tygodnia”, „Zwierciadła”, „Business Week”. Wiele lat Bohdanowicz rysował do „Wiadomości wędkarskich”, mimo że jak sam przyznał w życiu nie złowił ryby... Fotografie Andrzeja Staszoka nieobce są czytelnikom „Jazz Forum” i „Twojego bluesa”. Znalazły się także na okładkach płyt **Jarosława Śmietany** i **Karen Edwards**.

Prezentowane wystawy można było oglądać do 15 października br. w Tarnobrzесkim Domu Kultury.

Krzysztof „Kylu” Witkowski

Było, minęło, ale było pięknie, oficjalne otwarcie no i jazda, na początek K 2 czyli dla odmiany (w tamtym roku było G 2 czyli dwie gitary) w tym roku dwie harmonijki (Kiersnowski, Kamiński + KZB), bluesowa jazda w świetnym wykonaniu, potem BOOGIE BOYS (albo F 2 czyli dwa fortepiany), ciekawe czym organizator zaskoczy nas w przyszłym roku, może dwie perkusje (przecież Allmani grają nadal). Wróćmy do tegorocznego Satyrbluesa; to co zrobili chłopaki z Boogie Boys to po prostu rewelacja, świetne granie, zabawa, wychodzi na to, że scena to ich naturalne środowisko życia. Potem dawka humoru w wykonaniu kabaretu DKD (świetny wykład na temat architektury). Ale wróćmy do muzyki; Pi-eR-2 czyli Marek Raduli, Wojciech Pilichowski, Tomek Łosowski, cóż tu dużo pisać, zagrali naprawdę rewelacyjnie, solówki Pana Marka są po prostu piękne, jest w nich melodia i można powiedzieć, że Pan Marek nimi świetnie opowiada. Pan Wojtek to

magik gitary basowej, a Pan Tomek na koncercie wydaje się, że ma trochę więcej niż dwie ręce; naprawdę magiczny koncert.

Wielkie dzięki składam na ręce organizatorów za wszystko (nawet za dużą dawkę cholesterolu, smalec jak zawsze ekstra).

Tadeusz Zych

DUCHAŚMY NIE DALI

„Wszystkiego strzec musimy, bo wszystko to już resztki i ostatki, ale tego dwojga najbardziej, żebyśmy sami i drudzy o nas powiedzieć mogli, co słusznie mówili o sobie nasi poprzednicy: *duchaśmy nie dali*. A dajemy go, ile razy cześć swoją w jakikolwiek sposób poniewieramy, dajemy go, kiedy wpadamy w kosmopolityzm rewolucyjnych teorii albo w kosmopolityzm zagranicznego życia, obyczaju i mody; dajemy go, kiedy wmawiamy w siebie czy w drugich, że nie ma pewnej dowiedzionej duszy w człowieku, a tym mniej w narodzie, dajemy go zwłaszcza, kiedy złudzeni sofizmatami lub pokusami uwiedzeni odrzekamy się swojej wiary i Kościoła i w znowie bezwiednej i mimowolnej, ale rzeczywistej, z Moskałem i Prusakiem walimy w nie taranami lub rzucamy błotem; dajemy ducha wreszcie, kiedy go trujemy kłamstwem i potwarzą, kiedy go kazimy miłością siebie samych, gasimy ciemnotą, kiedy go dusimy rezygnacją i kiedy go odhartowujemy zwątpieniem.”

Tymi oto słowy charakteryzował, przed z górą stu laty, stan polskich umysłów i polskiego społeczeństwa Stanisław Tarnowski – jeden z najbardziej znamienitych umysłów swojej epoki, przywódca galicyjskich konserwatystów, niedoszły dziedzic Dzikowa, rektor UJ, wybitny znawca polskiej literatury.

Przyszedł na świat 6 listopada 1837 roku w rodzinie łączącej wielkie tradycje dwóch znamienitych rodów: Tarnowskich i Małachowskich (poprzez matkę, Gabrielę z Małachowskich spokrewniony był ze słynnym Stanisławem Małachowskim). Dość szybko wyszedł z dzikowskiego gniazda, udając się najpierw do Krakowa, by uczyć się w gimnazjum oraz studiować prawo i filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Na początku lat sześćdziesiątych Stanisław wyjechał do Paryża, gdzie zetknął się ze środowiskiem Hotelu Lambert (najsilniejszym i najbardziej wpływowym ośrodkiem polskiej emigracji politycznej, założonym przez Adama Czartoryskiego), i gdzie spotkał dwóch wybitnych myślicieli politycznych tamtej epoki: J. Klaczkę i W. Kalinkę. To właśnie pod przemożnym wpływem ich myśli zaczął kształtować się intelektualny i polityczny charakter Tarnowskiego.

Wybuch Powstania Styczniowego zastał Stanisława Tarnowskiego we Włoszech, gdzie przebywał ze swoim bratem Juliuszem. Obaj decydują się na powrót i włączają się aktywnie w działalność konspiracyjną. Gdy w Dzikowie tworzy się zbrojny oddział pułkownika Jordana, obaj bracia aktywnie wspierają tę akcję. Przyjdzie im za to zapłacić ogromną cenę. Juliusz ginie w bitwie stoczonej z Rosjanami pod Komorowem, Stanisław zaś zostaje aresztowany przez władze austriackie, oskarżony o działalność powstańczą i skazany na 12 lat więzienia. Po niespełna dwóch latach dzięki staraniom swojego brata Jana, zdołał odzyskać wolność. Po wyjściu z więzienia i powrocie do Krakowa, Tarnowski decyduje się na rozpoczęcie działalności politycznej. Inspiracją do tego stało się przypadkowe spotkanie ze Stanisławem Koźmianem na krakowskim Rynku. Koźmian tak opisał tę sytuację: „Cóż pocniemy, coź robić będziemy – zapytał. – Wydawać będziemy pismo polityczne. – Dobrze, ale jak to, my dwaj? – I Szujski. – Szujski? Ale przecież on niezupełnie takie jak my ma przekonania i zapatrywania. – O, Szujski zupełnie się odmienił. Obaj poszli do Szujskiego, pozyskali współudział Ludwika Wodzickiego i 1 lipca 1866 wyszedł pierwszy zeszyt *Przeglądu Polskiego*.” Tak narodziło się środowisko słynnych galicyjskich „Stańczyków” i jego główny organ prasowy. Tarnowski od początku należał do czołowych ideologów tej formacji, stając się jednym z prekursorów nowoczesnej myśli konserwatywnej na ziemiach polskich.

Program „Stańczyków” był swoistą polityczną, narodową i intelektualną prowokacją, obliczoną na wywołanie szoku, mogącego zmienić mentalność społeczną i narodową Polaków. Zrywając ze wszystkimi wartościami o uświęconym charakterze i miejscu w polskiej tradycji, Tarnowski krytycznie odniósł się do ideologii powstańczej (był w tej krytyce wiarygodnym – wszak sam w powstaniu uczestniczył), nazywając ją „liberum conspiro” – drugą wg niego po „liberum veto” najbardziej szkodliwą postawą w naszych dziejach.

Działania Tarnowskiego były próbą dokonania przewrotu umysłowego w polskich elitach politycznych drugiej połowy XIX wieku. Na przewrót ten, obok potępienia działań powstańczych składały się: lojalizm wobec Habsburskiego zaborcy, który obdarzył Polaków autonomią, a to stwarzało możliwości działań politycznych w zniewolonym kraju, oraz nowe ujęcie roli tradycji jako konserwowania pewnego, stałego systemu wartości. Ten ostatni zaś według Tarnowskiego, jeśli ma służyć dobrze polskiemu narodowi, musi być oparty o Kościół i katolicyzm. „Najbardziej realistycznym, najracjonalniejszym, matematycznym pomimo swej ideowej treści, żywiołem bytu narodowego polskiego jest katolicyzm – jako katolicyzm nie zaś jako jedna tylko

forma patriotyzmu." Takie widzenie roli katolicyzmu zdecydowanie odróżniało „Stańczyków” od późniejszych endeków utożsamiających narodowość z religią.

Stanisław Tarnowski równocześnie z działalnością polityczną zajmował się również karierą naukową. W 1872 roku uzyskuje tytuł doktora, a rok później zostaje docentem na UJ. Zmiany zachodzą również w jego życiu prywatnym. W 1874 roku poślubia Różę Branicką, najlepszą wówczas partię w tej części Europy. Tarnowscy po ślubie kupują dobra w Rudniku nad Sanem, który od tego czasu staje się jedną z siedzib rodu. Stanisława spotykają kolejne zaszczyty. Zostaje wybrany rektorem krakowskiej uczelni i prezesem Akademii Umiejętności (1890 r.) Jeśli dodamy do tego jeszcze obowiązki posła w Sejmie galicyjskim i członkostwo w cesarskiej Izbie Panów to otrzymamy obraz człowieka będącego tytanem pracy i symbolem wszechstronnej aktywności.

Pomimo, iż Stanisław Tarnowski wszedł do historii głównie jako wybitny znawca i krytyk literatury polskiej, autor dziesiątek rozpraw na ten temat, to jednak z zamiłowania i temperamentu był przede wszystkim politykiem. Jego znakomite skądinąd studia literackie są jakby tylko pretekstem do ukazania własnych przemyśleń i koncepcji politycznych. Te ostatnie, właśnie wydaje się, najbardziej przetrwały próbę czasu i mimo upływu stu lat zadziwiają dojrzałością analiz, błyskotliwością tezy i wniosków oraz śmiałością wizji. Punktem wyjścia do analiz politycznych było dla Tarnowskiego uświadomienie roli, jaką odgrywa w społeczeństwie historia i tradycja. Według „Stańczyków” nasze zanurzenie w historię odbywa się w sposób mechaniczny, bez udziału naszej woli. Jesteśmy wszyscy spadkobiercami przeszłości, jej dobrych i złych przejawów. Tarnowski pisał: „W historii jak w naturze, skoków nie ma; wszystko dzieje się powolnym, naturalnym procesem. Jak w jednym ludzkim, tak w zbiorowym społecznym organizmie choroba prędko siły wyniszczy, ale zdrowie wraca i przywraca te siły pomału. A kto przed ich powrotem chciałby udawać silnego, w siebie i drugich wmawiać, że nim jest, i próbował żyć tak, jak człowiek w dobrym stanie sił i zdrowia żyć może, ten zapadłby w recydywę i w końcu musiałby się sam o wyczerpanie sił, o śmierć przyprawić.”

Stanisław Tarnowski, tak jak i wszyscy „Stańczycy” ostrej krytyce poddawali tę stronę naszej przeszłości, która według nich w prostej linii wiodła od szlacheckiej anarchii do postaw romantyczno-konspiracyjnych w XIX wieku. Od „liberum veto” po „liberum conspiro”, to droga naszych narodowych nieszczęść i porażek. Jak pisze M. Król, wybitny znawca myśli konserwatywnej: „Tradycja negatywna składała się zatem, wedle stańczyków, z nieuniknionego dziedzictwa przeszłości i ze świadomej, i celowej apoteozy niepożądanych elementów tego dziedzictwa, apoteozy czynionej w imię racji politycznych i społecznych. Uważali stańczycy politykę romantyczno-konspiracyjną za przedłużenie przedrozbiorowej polityki anarchiczno-szlacheckiej.”

Tej negatywnej historycznej tradycji, Tarnowski próbuje przeciwstawić jej wizję pozytywną. Z nią związane są ulubione przez „Stańczyków” postacie z polskiej historii; Mieszko, Kazimierz Wielki, Frycz Modrzewski, Staszic, Czartoryski, Wielopolski, Zygmunt Krasiński. Wszystkich ich łączył swoisty realizm polityczny, mierzący zamiary na siły, który „chciał robić, co się dało, i tylko to, co się dało w danych warunkach, co jest do zrobienia i zrobić się da...”

Tarnowski patrzył więc na historię w sposób klasyczny, jak na „magistrae vitae”. Według tej koncepcji koniecznym warunkiem dobrego funkcjonowania narodu i społeczeństwa jest zachowanie ciągłości tradycji jako dziedzictwa. Z niej tylko można czerpać wzorce pozytywne i na niej oprzeć budowę współczesnej rzeczywistości i politycznego rozumu. Tym, co nadaje historii sens są wartości, zawarte głównie w religii: „Żaden naród nie może mieć materialnej siły bez świadomości siebie, bez treści i istoty duchowej, którą wyrabia jego historia, ale którą składa w nim i zapładnia (żeby się tak wyrazić) jego religia. Prawdziwa czy fałszywa, ona zawsze jest pierwiastkiem głównym, stanowczym w jego jestestwie, w jego dziełach i dziejach.”

Niestety ówczesny Tarnowskiemu świat odwrócił się od religii i moralności. „Dziś nikt nie mówi o tym, że stosunki polityczne powinny opierać się na słuszności i na prawach; nikt nie pyta i nie rozróżnia, która sprawa jest dobra, a która zła, kto ma za sobą słuszne prawo, a kto je gwałci. Świat nazywa walkę o byt swoim stanem przyrodzonym, normalnym, prawnym; patrzy tylko na fakt, znak i skutek siły i temu przyznaje słuszność. Rzecz to naturalna, a przyczyny jej tkwią w samej głębi naszego historycznego i cywilizacyjnego stanu, w tej walce dwóch sprzecznych pojęć i zasad, która od wieków toczy się przez cały ciąg naszych dziejów.

Podług jednej, początkiem spraw ludzkich i ich sędzią jest Bóg; ich przeznaczeniem do Niego dążyć przez coraz lepsze urzeczywistnianie. ...Podług zasady drugiej, środkiem ciężkości świata jest człowiek. On ma sędzić i stanowić, co jest dobre, a co złe; jego rozum jest najdoskonalszą miarą, jego wola jest najwyższym prawem.”

Jednak według Tarnowskiego „jest zasada wyższa, jest podpora, jest droga pewniejsza od wszystkich, polityk... to Bóg, wiara i Kościół”.

Grażyna Wianecka

ŻYCIE I DZIAŁALNOŚĆ MARII KOZŁOWEJ

Urodziła się 5 sierpnia 1910 r. we wsi Machów k. Tarnobrzega w chłopskiej rodzinie Wiącków. Dom, jak pisze Józef Myjak, „był nie tylko ogniskiem życia rodzinnego, ale czymś więcej. Był miejscem, gdzie toczyły się dyskusje polityczne, ścierały poglądy, wykluwały pomysły. W czasach zaborów był ośrodkiem konspiracyjnej działalności niepodległościowej.”⁴

Organizatorem tych spotkań był ojciec pani Marii, Wojciech Wiącek – dobry rolnik, patriota, społecznik, działacz chłopski, poseł do parlamentu wiedeńskiego, a potem senator Rzeczypospolitej. Był również pisarzem ludowym i wydawcą. Kozłowa mówi, że rysował kwiaty i konie, urządzał przedstawienia, wianki, sobótki, sceny historyczne, zwłaszcza bitwy pod gołym niebem. Utożsamiał się ze swym stanem, lecz jako człowiek światły walczył o lepsze jutro dla ludu. Dumny był z tego, że mówiono o nim Wiącek – Polak. Działalność dla ludu i rodzinnego kraju stała się celem jego życia. To właśnie córkę Marię, nazywaną jego „przyszłością”, a nie synów, wybrał na kontynuatorkę swych działań. Ją też najczęściej zabierał na różnego rodzaju zebrania, przedstawienia i tym samym wdrażał do pracy jaką wykonywał.

Matka Marii – Wiktoria była dobrą gospodynią, kobietą skromną, pracowitą i oszczędną. Zajmowała się wychowaniem dzieci, prowadzeniem domu i rolnictwem. Od niej Kozłowa nauczyła się śpiewać, opowiadać, haftować, robić ozdoby choinkowe, pająki i różgi weselne. Umiejętności te doskonaliła już sama. „Pan Bóg mnie obdarzył zdolnościami we wszystkich dziedzinach życia polskiej wsi” – napisała o sobie w liście.

Kiedy miała 4 lata wybuchła wojna światowa. Ojciec jej w okresie zaborów urządzał patriotyczne wiece w Galicji i Królestwie, kolportował nielegalne książki i broszury. Zaraz po wkroczeniu wojsk rosyjskich ogłoszono w powiecie tarnobrzeskim nagrodę 4 tysiące rubli za dostarczenie go żywego władzom rosyjskim. Rodzina zmuszona była uciec do Czech. Przez pewien czas przebywali w miejscowości Chocni, gdzie był obóz dla uchodźców z Polski, a następnie z uwagi na nędzne warunki przenieśli się do Pragi. Po roku wrócili do zniszczonej rodzinnej wsi, w której musieli ciężko pracować i niejednokrotnie cierpieć głód.

W tym czasie poszła do miejscowej szkoły. Pierwsze trzy lata wspomina mile, ale następny rok przyniósł wiele przykrych przeżyć. Do szkoły przyszedł nowy nauczyciel, okrutny, znęcający się nad dziećmi. Gdy wróciła do domu pobita przez pijanego nauczyciela ojciec przeniósł ją do szkoły w odległym o 5 km Tarnobrzegu, ale i tamten okres wspomina z przykrością. Miejskie dzieci wyśmiewały się z niej, demonstrując swoją „wyższość”. Wytrwała jednak, kończąc w tej szkole VII klasę.

Wcześniej zaczęła swą „pracę z ludźmi i dla ludzi”. Już jako trzynastolatka urządziła przedstawienie *Żywot świętej Fausty*. Z koleżankami inscenizowały jasełka i krótkie opowiadania, przeważnie przez nie wymyślone. Zapraszały na te występy sąsiadów i znajomych.

Kiedy miała 19 lat ukończyła kurs świetlicowy w Tarnobrzegu i założyła Związek Młodzieży Ludowej. Po pracy w polu i domu znajdowała jeszcze czas na pracę z młodzieżą. Urządzała przedstawienia, sobótki, zabawy ludowe – festyny, organizowała odczyty, wycieczki, dożynki. Zachęcała też młodzież do czytelnictwa. Najczęściej sama, na własnych plecach nosiła książki z bibliotek z Tarnobrzega i okolicznych wsi: Chmielowa, Nagnajowa, Mokrzeszowa.

W 1928 r. założyła „Sokolicę” – żeński odłam „Sokoła”. Dziewczęta pod jej kierunkiem uprawiały gimnastykę i uczyły się śpiewu. Niedługo potem zorganizowała Zespół Młodzieży Parafialnej i Akademię Sztuki Religijnej. Prowadziła dwugłosowy chór i urządzała jasełka.

W roku 1933 założyła we wsi świetlicę, zorganizowała teatr ludowy, była na centralnych dożynkach w Spale. Później stworzyła zespół Zielona Gromada. Młodzież na spotkaniach czytała książki, omawiała zasady dobrego wychowania, grała sztuki ludowe i urządzała przedstawienia patriotyczne. Kiedy w 1934 r. powstało w Machowie Koło Gospodyń Wiejskich wraz z instruktorkami organizowała kursy: kroju, szycia, gotowania i pieczenia. Dla zachęty do uczestnictwa w nich i uatrakcyjnienia urządzała różnego rodzaju przedstawienia, wykorzystując w nich napisane przez siebie wiersze i piosenki. Wraz z młodzieżą, którą się opiekowała, brała udział w konkursach wzorowych poletek, ogródków warzywnych, kwiatowych. Rozumiejąc potrzebę propagowania na wsi higieny weszła w skład grupy robiącej wzorowe porządki w gospodarstwie wiejskim. Kilka razy w okresie wzmożonych prac polowych organizowała półkolonie dla dzieci wiejskich z Machowa i okolic. Fundusze na ten cel uzyskiwała urządzała przedstawienia. Wzorem jej poszli później inni organizatorzy kolonii. Wystawiała też sztuki i organizowała festyny ludowe, by zdobyć pieniądze na ogrodzenie miejscowej szkoły czy potrzeby kościoła. Przeprowadzała zbiórki pieniężne, by pomóc najbardziej potrzebującym rodzinom. W parafii zorganizowała 11 prymicji, pomagała w przygotowaniu uroczystości kościelnych. Jej talent organizatorski i umiejętność gromadzenia ludzi wokół siebie przyczyniły się do tego, że przed II wojną Machów stał się przodującą wsią w powiecie.

W 1940 r. wyszła za mąż za swego kuzyna Józefa Kozioła. Działała w ruchu oporu, pomagała partyzantom, przez długi czas ukrywała u siebie ich dowódcę, szyła dla nich biało-czerwone opaski z monogramem BCH.

Rok 1944 nie był dla pani Marii Kozłowej radosny. Zmarli rodzice i ojciec męża. Dwa lata później urodziła syna Wojtkę, a w 1951 roku córkę Dorotę.

⁴ Józef Myjak, *Życie wielokrotne*, Tygodnik Nadwiślański, 1984, nr 47.

W 1948 r. założyła i prowadziła Regionalny Zespół Pieśni i Tańca Ludowego „Laskowiak” złożony z mieszkańców Machowa – ośmiu par tanecznych, solistki, trzech muzykantów i starego dziadziusia z fujarką o nazwisku Kalinka. Pierwszy występ odbył się na Święcie Kultury Dorosłych w Tarnobrzegu. Później wystąpili na I Festiwalu Muzyki Ludowej i Tańca Ludowego w Warszawie. Ich występ był nagrany przez Polskie Radio. Warto tu odnotować fakt, że w powstałej w krótkim czasie po tym festiwalu *Małej Suicie* Lutosławskiego znalazły się melodie grane przez Kalinkę.

Zespół występował też na ogólnopolskich dożynkach w Warszawie, Lublinie, Krakowie, Szczecinie, na Wystawie Sztuki Ludowej w Łańcucie, na Zlocie Młodzieży w Warszawie, na Zlocie ZMS w Rzeszowie i wielu różnych imprezach powiatowych i wojewódzkich.

W czasie, kiedy zaczęto budować w Machowie kombinat siarkowy, poproszono Marię Kozłową o zorganizowanie tanecznego zespołu złożonego z junaków zatrudnionych przy budowie oraz z machowskich dziewcząt. Próba ta nie powiodła się. Udało się jej natomiast założyć w 1959 r. zespół malarek ludowych. Brał on udział w wielu konkursach w Kolbuszowej, Łańcucie, Rzeszowie. Prowadziła go przez 5 lat.

W tym czasie budowa kombinatu siarkowego była już daleko posunięta. Mieszkańcy Machowa zdawali sobie sprawę z tego, że ich wieś zostanie wysiedlona. Ich starania o przeniesienie jej w całości w inne miejsce nie powiodły się. Zostali rozproszeni. Jako ostatnia, już w roku 1969 opuściła swą wieś Maria Kozłowa. Wraz z córką Dorotą zamieszkała w Baranowie Sandomierskim u swego brata. Dramat wysiedlenia z rodzinnej wsi przeżyła głęboko, dając temu wyraz w cyklu wierszy poświęconych Machowowi. Nie zaprzestała działalności społeczno – kulturalnej.

Około 1972 r. dyrektor Szkoły Podstawowej Nr 4 w Tarnobrzegu zwrócił się do Marii Kozłowej z propozycją założenia dziewczęcego zespołu ludowego. Przystąpiła na tę propozycję i zaczęła próby z osiemdziesięcioma dziećmi. Zespół otrzymał nazwę „Lasowiaczki”. Występowali przez 2 lata, do momentu kiedy członkowie zespołu powitali przybyłego do Tarnobrzega prowincjała z Rzymu. Nie spodobało się to władzom: pani Marii podziękowano za pracę a zespół przestał istnieć. Jeden z występów „Lasowiaczek” zarejestrowała fińska telewizja, wykorzystała go w programie o Polsce.

Ostatnim zespołem jaki powstał z inicjatywy Marii Kozłowej są „Lasowiaczki” – grupa folklorystyczna skupiająca kilka kobiet, mieszanek Baranowa Sandomierskiego. Grupa występuje od 1976 r. a kierownikiem przez szereg lat była pani Maria. Napisała i przygotowała kilka scenicznych widowisk folklorystycznych: *Sobótki*, *Zapust*, *Noc św. Jana*, *Zimowe i wiosenne obrzędy i zwyczaje Lasowiaków*, *Wesele lasowiackie* i, chyba najciekawsze, związane z medycyną ludową *Gusła lasowiackie*. Na podstawie tych ostatnich powstał w 1983 roku film zatytułowany *Czary, mary, uroki* nakręcony przez Franciszka Trzeciaka.

Józef Myjak tak o niej powiedział: „Była obecna na wielu imprezach, na wielu spotkaniach. /.../ Właściwie to były indywidualne monodramy – spektakle. Każdy jej występ. Bo potrafi zarówno śpiewać, recytować, jak i mówić, gawędzić, opowiadać. Poza tym sama bezpośrednio oddziałuje na odbiorcę, uczestnicząc w tego typu spotkaniach. A również jej teksty, /.../ scenariusze, /.../ wiersze, oracje, piosenki, które układa i inne formy literackie z pogranicza folkloru i /.../ literatury są wykorzystywane przez członkinie zespołu, między innymi gawędziarki, które wykorzystują to w popisach gawędziarskich. Dzieci w szkole również /.../ często korzystają z jej tekstów.”⁵

Stała się instytucją. Zwracali się do niej wszyscy ci, którzy interesują się folklorem lasowiackim. Z jej pomocy w dokumentacji folklorystycznych tekstów korzystał – pisząc o Lasowiakach – znakomity badacz tego regionu, Franciszek Kotula.

Brała udział w wielu konkursach na sztukę ludową, pokazując wykonane przez siebie hafty lasowiackie, stroje, wycinanki, malowanki, pisanki, kwiaty z bibuły, pająki, ozdoby ze słomy, gliny, szyszek. Rzeźbiła ptaszki z drewna.

W latach pięćdziesiątych uczyła młode dziewczyny w Kole Malarek Ludowych, które założyła w Machowie, gromadziła wokół siebie młodzież, przekazując im swe umiejętności. Do dziś haftuje, wykonuje ozdoby, pisze i wygłasza weselne oracje.

„Najboleśniej - pisze - przeżywam starość. I mnie, co tak kochałam swobodę, co tak szukałam po naszych polach, łąkach, lasach, co tak się cieszyłam światłem, śpiewem ptaków, wyciem wiatru, szumem Wisły – odebrano te rozkosze i wypędzono na tułaczkę.”⁶

W cytowanym już artykule Józef Myjak pisze „Kozłowa dość wcześnie zauważyła, że świat tradycyjnej kultury ludowej powoli zaczyna się kurczyć, zanikać. Mieszkańcy wsi zaczęli wychylać się poza własne opłotki: wyjeżdżać na roboty sezonowe i stałe, emigrować do Ameryki. Ludzie stali się otwarci na nowinki z szerokiego świata, a to się wiązało ze zmianą świadomości, sposobem życia?...? i tak rodzić się poczęła Maria Kozłowa – badacz. Kolberg w spódnicy chciałoby się rzec.”

W rozmowie, którą z nim przeprowadziłam Myjak powiedział m.in.: „Status twórczy pani Kozłowej jest specyficzny, bo z jednej strony jest ona twórczynią ludową w tym obiegowym pojęciu, z drugiej zaś, mając

⁵ Józef Myjak, wypowiedź nagrana przez autorkę.

⁶ Z listu do Aleksandra Jackowskiego, 16.04.1990 r.

świadomy stosunek do tego co robi, mając pewne przygotowanie, jej działalność popularyzatorska jakby ją kwalifikowała do kategorii samorodnego etnografa, folklorysty.”

Robiła wiele dobrego dla ludzi i było to przez nich często aprobowane. Zdarzały się jednak i momenty przykre. „Był okres, kiedy patrzono na to, tak jak się w ogóle w tradycyjnych środowiskach wiejskich patrzy na każdą inność. Była osobą niepospolitą, była inną, a więc musiała wzbudzać również i kontrowersyjne odczucia. Tak jak wieś nigdy nie akceptuje inności, nie akceptuje zachowania, które jakby wychodzi poza /.../ ramy przyjętych obyczajów, zwyczajów i norm zachowania.”⁷

Kiedy urodziła swe pierwsze dziecko – syna – i okazało się, że jest ono kalekie, ludzie ze wsi, szczególnie starsi mówili: „Tą głupią tak Pan Bóg skarał, że urodziła takie dziecko.”⁸ Ona jednak miała w sobie tyle siły, że nie załamała się. Leczyła dziecko i dalej udzielała się we wsi. Z żalem wspomina fakt, iż dyrekcja szkoły, w której prowadziła taneczny zespół dziecięcy, zmusiła ją do odejścia – jak uważa – bez żadnych powodów.

Jej pasje społecznikowskie i artystyczne przyczyniły się do tego, że niemal zrezygnowała z normalnego życia rodzinnego. Nie chciała być tylko i wyłącznie gospodynią, często była poza domem, z zespołem, na próbach, występach. Ceną takiego wyboru jest m.in. i to, iż od 25 lat mieszka tylko z córką.

Jej działalność i twórczość były często nagradzane, prace reprodukowane. Dwa razy otrzymała nagrodę na Ogólnopolskim Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu: I w 1977 r. i II w 1981 r. Na podstawie haftów i plastyki obrzędowej została przyjęta w 1973 r. do Stowarzyszenia Twórców Ludowych.

Wśród wielu nagród, wyróżnień i dyplomów najwyższej sobie ceni nagrodę im. Oskara Kolberga (1979 r.), Złoty Krzyż Zasługi (1979 r.), odznakę Zasłużony Działacz Kultury (1977 r.), Zasłużony dla Województwa Tarnobrzesckiego (1982 i 1984 r.), Medal 40-lecia (1985 r.).

„Nie dla korzyści materialnych i nagród podejmowała wszystkie działania. Proszona o przygotowanie wystawy, czy też udział w imprezie, nigdy nie zapytała: za ile? – choć długie lata, po wysiedleniu z Machowa, żyła w prymitywnym mieszkaniu i finansowo również nie najlepiej się jej powodziło. A przecież zdarza się często – wiedzą o tym etatowi pracownicy upowszechniania kultury – że artyści zawodowi, a tym bardziej amatorzy, niczego dziś za darmo nie zrobią.”⁹

Nawet teraz, na wiadomość o publikacji jej „Lamentów Machowskich”, zawiadomiła redakcję: „Nie pisałam ja tego, aby drukować, ale tak dla siebie zapisywałam... W tym roku zrobię ostatnią wystawę sztuki Lasoskiej. Liczę już 80 wiosen. Pozdrawiam wszystkich. Z lasoskim pozdrowieniem Maria z Wiącków Kozłowa”.

Zamieszczony materiał pochodzi z pracy magisterskiej pt. „Maria Kozłowa. Monografia współczesnego twórcy ludowego” autorstwa pani Grażyny Wianeckiej, publikowany w Polskiej Sztuce Ludowej, wyd. PAN, Instytut Sztuki, Rok XLIV, 1990, Nr 3.

BLISKO ZIEMI

To tytuł warsztatów ceramicznych, które odbyły się 3 czerwca br. w Tarnobrzescim Domu Kultury. Uczestniczyli w nich uczniowie z Gimnazjum Nr 2 w Tarnobrzegu, z koła plastycznego prowadzonego przez panią **Patrycję Krakowiak**.

Te niecodzienne warsztaty poprowadził artysta rzeźbiarz **Krzysztof Czerwiak ze Stalowej Woli**. Młodzież pracowała z dużą pasją i udowodniła, że „nie święci garnki lepią”.

S.D.

ANIOLY

Pani Beaty Górny już nie ma wśród nas. Zostały tylko anioły, które towarzyszyły Jej do ostatnich chwil ziemskiego pobytu. Fascynacja aniołami, materiałem, z którego je wykonywała była być może wyrazem ducha Pani Beaty, pasją, której poświęciła ostatnie lata pobytu w Tarnobrzegu.

Wystawa aniołów miała być prezentowana dużo wcześniej, ale choroba autorki spowodowała, że mogliśmy ją oglądać dopiero **w lipcu 2005 r., w witrynie Oddziału dla Dzieci MBP.**

BIB

Tadeusz Zych

⁷ Józef Myjak, wypowiedź nagrana przez autorkę.

⁸ Rola przeorana, dom piękny, wybór i opracowanie E. Jagiełło-Lysiowa, Warszawa 1975, s. 213.

⁹ Józef Myjak, Życie wielokrotne, op. cit.

W KRÓLESTWIE MINOSA

Z górnego pokładu potężnego statku o pełnym respektu imieniu „Kidon”, patrzymy w dół na załadunek. Przypomina to trochę wyprawę Noego. Ładują krowy, osły, kury, wielkie i mniejsze wory, a na koniec do ładowni majestatycznie wsuwają się samochody. Mimo, iż mieliśmy wyruszyć o 19-tej, startujemy grubo po 20-tej. Jeszcze ostatni spóźnieni i mały holownik obraca naszego kolosa we właściwym kierunku i wyprowadza na morze. Zmierzch już prawie całkowicie przysłonił port w Pireusie. Statek powoli nabiera szybkości majestatycznie przesuając się wzdłuż brzegu, wyglądającego jak rozjarzone listopadowymi lampkami cmentarzysko, które żywi zwą Atenami. Wspólnie z moimi Przyjaciółmi: Kapitanem i Uwem leżymy na najwyższym pokładzie statku. Jest ciepło, słychać miarowy szum fal. Schodzimy na dół, natrafiając na kaplicę, gdzie właśnie odbywa się prawosławne nabożeństwo, parę kroków dalej inni „wierni” gromadnie otaczają swojego bożka – telewizor.

Zgodnie z planem już rankiem mamy dobić do brzegów Krety – celu naszej wyprawy. Ze snu budzą mnie śpiewy ptaków dochodzące z pokładowych głośników. Kicz na pełnym morzu. Mimo zachmurzonego nieba w oddali zaczynają majaczyć kontury brzegu. Kreta, największa grecka wyspa na Morzu Śródziemnym. Na powierzchni ponad 8 tysięcy km² żyje około pół miliona ludzi. Ten skalisty teren stał się parę tysięcy lat temu kolebką cywilizacji europejskiej. Tu powstała kultura minojska dająca początek światu helleńskiemu. Dziś mieszkańcy wyspy Minotaura żyją przeważnie z uprawy ziemi i turystyki.

Rankiem przybijamy do brzegu, skąd autobus zabiera nas do najbliższego miasta Chania. Znów podobnie jak na Peloponezie wrażenie nieładu, chaosu i brudu, tworzących jednak jakąś dziwnie harmonijną całość. Przechodzimy przez różnokolorowy bazar w stronę portu. Ledwo trzymające się kupy kamieniczki na tle lekko wzburzonego morza i starej latarni wyznaczają granicę starego miasta, będącego istną mieszaniną stylów; weneckiego, tureckiego, greckiego i dzisiejszego – nijakiego. Wszystko tętni życiem, sporo turystów, choć to przecież po sezonie. Orientalne kopuły domów, sąsiedztwo krzyża z wieżą minaretu, ta specyficzna atmosfera to przykład wyższości różnorodności nad monotonią. Atmosferę ową dopełniają paradujące po ulicach piękne dziewczyny. Wieczorem, autobusem jedziemy na południe do miejscowości Samaria. Droga pnie się ciągle w górę. Zaskakująco wiele zieleni, wreszcie uczucie jakbyśmy byli na dachu świata. To tu znajduje się ponoć najdziksze i przyrodniczo najciekawsze miejsce na całej Krecie.

Rankiem zapuszczamy się w głąb ścieżki, prowadzącej tym razem w dół. Wokoło strome skały białego koloru. W miejscu tym aż do 1973 roku ukrywało się 2 greckich partyzantów z czasów II wojny światowej. Mieszkańcy tych terenów sprawiają wrażenie bardzo twardych, dawni pasterze zamienili swoje trzody na turystyczne bydło. Twarze ich ogorzałe i surowe. Idziemy w dół. Krajobraz jak w okolicach Olimpu. Schodzimy do osiemnastokilometrowego wąwozu - najdłuższego w Europie. Wspaniałe cyprysy i bogactwo drzew iglastych, upał, wszystko pachnie kadzidłem jak po niedzielnych nieszpórach. Nasze plecaki ciężą niemiłosiernie, jednak po paru godzinach marszu dochodzimy do krańca wyspy, najdalej wysuniętego na południe punktu Europy. Idziemy teraz wzdłuż brzegu w kierunku wschodnim. Po prawej stronie cudowne morze o łagodnie zaznaczonej linii horyzontu, po lewej góry – dzikie i niedostępne. Wreszcie dochodzimy do dziwnego miejsca; nad samym morzem na zupełnie bezludnym terenie, na piaszczystej plaży stoi mała kamienna kaplica. Tu postanawiamy zanoć. Najpierw kąpiel w morzu, a później niby widzowie w teatrze jesteśmy świadkami cudownego spektaklu: zachodu słońca. Czerwona kula na idealnie lazurowym niebie rozpoczyna majestatyczną wędrówkę ku ziemi, by po chwili łagodnie zanurzyć się w wodzie i zniknąć z naszych zdumionych oczu.

Ranek przynosi kolejne zachwycenie. Oto na niebie trwa budowa kolorowego mostu. Potężna tęcza jedną nogę zanurza w morskiej toni, drugą sięga hen za góry. My musimy jednak ruszać dalej. Idziemy po krańcu urwiska, roślinność coraz bardziej uboga, dostrzegamy stada kozic, w górze krążą orły, podobno jest ich dużo w tej okolicy. Dochodzimy do małej malowniczej zatoczki. Czas na kąpiel. Stan idylli przerywa inwazja 2 motorówek, które przywożą stado nudystów. Wrzaski i parada przyrodzeń zmuszają nas do podjęcia na nowo trudów marszu. Wreszcie o zmroku osiągamy nasz cel: wioskę Sfakia. Stąd po różnych perypetiach docieramy autobusem do Fajstos. Tutaj pierwszy raz spotykamy ślady kultury minojskiej. Powstała na Krecie między IV a II tysiącleciem przed Chrystusem, apogeum swojej świetności osiągnęła między III i II tysiącleciem. Ludy zamieszkujące wyspę w tym okresie stworzyły cywilizację budzącą podziw do dnia dzisiejszego. Mimo upływu wieków krajobraz wyspy nie uległ zasadniczym zmianom, stąd odkrycia archeologiczne, jakich dokonał tu w latach dwudziestych XX wieku angielski badacz sir Arthur Evans wprowadzają nas niemal całkowicie w nastrój i klimat epoki minojskiej.

W Fajstos archeolodzy odsłoniли minojski pałac, który dziś na pierwszy rzut oka robi wrażenie kupy gruzu i kamieni. Po dokładniejszych jednak oględzinach kamienie zaczynają mówić. To drugi po Knossos co do wielkości pałac minojski. Pozostałości po komnatach, świątyni, spichlerzach i warsztatach mówią o randze tego obiektu. Ze wzgórza, na którym usytuowano pałac rozciąga się cudowny widok; z jednej strony na Libijskie Morze, z drugiej na wyniosłe i święte góry Psiloritis. Niedaleko Fajstos oglądamy drugą osadę minojską Agia Triada. Rosnące wokół sady cytrusowe świadczą o żyzności tej okolicy.

Od 2 dni zmierzamy do kolejnego celu naszej wyprawy, jakim jest najwyższe wzniesienie Krety - góra Ida i leżąca u jej podstawy grotta, w której swe dzieciństwo spędził Zeus. Droga jest dość stroma lecz dobrze oznakowana. Zostawiamy za plecami morze i poprzez gaj starych kamiennych dębów pniemy się w górę. Wreszcie dochodzimy do pierwszej z grot – Kamaros. Jakby malowana w czarno-białe pasy, od jej imienia wzięła nazwę kolorystycznie podobna antyczna ceramika minojska. Dalej, ścieżką górską docieramy na skraj wypalanej słońcem równiny, którą zamyka ściana białych skał. Jesteśmy na miejscu, idziemy do grotty, teren cały ogrodzony, po dziś dzień prowadzone są tu prace archeologiczne. Jeden skok i jesteśmy w środku grotty. Rozczarowanie – widocznie bogowie bywali czasem niewybredni.

Następnego dnia już wczesnym rankiem rozpoczynamy szturm na szczyt Idy (2456 m n.p.m.). Pogoda nam sprzyja, jest ciepło lecz nie upalnie. Najpierw stromo pod górę, później na przemian z i do góry. Wreszcie kończy się wszelka roślinność i przed naszymi oczyma majaczy szczyt. Wchodzimy nań dość łagodnym łukiem. Ze śniegu wystaje mała kamienna kaplica. Jesteśmy na dachu Krety. Gdybym miał jednym słowem nazwać to, co widzę w dole, użyłbym słowa „Kretowisko”, takie skojarzenie budzą leżące w dole góry i wzgórze.

Teraz parogodzinny marsz w dół, a potem przygodną ciężarówką jedziemy do najbliższej wioski Anogii. Jest to jedna z najbardziej znanych miejscowości na Krecie. Wioska o sławnej partyzanckiej przeszłości, kultywuje do dziś swoje tradycje. Atmosfera jak z „Greka Zorby”. Ludzie tu serdeczni i dostojni zarazem. Wszyscy starzy mężczyźni noszą wąsy, oficerki i charakterystyczne czarne przepaski na czołach. Siedzą podobnie jak my w knajpie, przy kieliszku raki, zasłuchani w dźwięki bouzuki. Dźwięczą mi w uszach słowa z testamentu Zorby „Nie mam nadziei na nic, niczego się nie boję, jestem wolny...”

Iraklion – ta swoista stolica Krety wita nas typowym dla miast greckich brudnym przedmieściem. To ponad osiemdziesiątletnie miasto portowe posiada kilka wysokiej klasy atrakcji turystycznych, choć mnie drażni jego chaotyczna zabudowa. Wenecka twierdza, gotyckie arkady czy klimat bazaru robią duże wrażenie, nas jednak najbardziej interesuje muzeum archeologiczne gromadzące skarby kultury minojskiej, greckiej i rzymskiej. Tu widać wyraźnie drogę, jaką kroczyła nasza cywilizacja od Knossos poprzez Mykeny, Ateny po Rzym. Najśłynniejszym eksponatem w muzeum jest tzw. Dysk z Fajstos. Tłumy turystów otaczają go niczym portret Mony Lisy w Luwrze.

Z Iraklionu już tylko mały krok do Mekki Krety jaką jest Knossos. To z pewnością najbardziej znane miejsce na wyspie. Na obszarze 2 ha znajdują się ruiny najśłynniejszego obiektu kultury minojskiej – pałacu króla Minosa. Deszcz i nadmiar turystów uniemożliwiają w pierwszej chwili koncentrację, konieczną by oczyma wyobraźni przywrócić pierwotny kształt temu miejscu. Kolumny, sala tronowa z zachowanym oryginalnym tronem Minosa, schody, gliniane naczynia, łaźnie, fragmenty ścian z zachowanymi na nich freskami, wszechobecna symbolika rogów byka i podwójnej siekiery, wszystko to przenosi nas w świat sprzed 4 tysięcy lat. Twarze młodych pięknych Greczynek zwiedzających to miejsce nieodparcie kojarzą się z twarzami kobiet minojskich spoglądających na nas z pałacowych fresków. Wszystko dookoła wiruje przed oczyma, do tego dręczące pytanie, co w tym miejscu jest dziełem Minojczyków, a co dziełem fantazji Evansa. Słynny brytyjski archeolog nie zadowolił się bowiem odkryciem Knossos. Postanowił jeszcze przywrócić mu dawny blask. Jego próba rekonstrukcji pałacu do dziś wzbudza kontrowersje wśród fachowców i turystów.

Autobus wspina się ciągle do góry, by wreszcie osiągnąć położony na wysokości 800 m płaskowyż Lasithi. Obszar długi na 12 i szeroki na 6 km robi wrażenie oazy tonącej w zieleni, przez którą przebijają się charakterystyczne sylwetki wiatraków. Jest ich tu około 10 tysięcy; wytwarzana przez nich energia umożliwia nawodnienie tych żyznych terenów. To rolnicze zagłębienie całej Grecji, miejsce licznych plantacji i upraw pod szkłem. Przemierzamy pieszo ten teren. Atmosfera jak na polskiej wsi. Położone na obrzeżach kotliny wioski przyciągają białą-niebieską barwą domostw. Pełno tu zieleni i kwiatów. I tylko stare kobiety ubrane na czarno z zasłoniętą połową twarzy stanowią smutny akcent tej rajskiej okolicy.

W małej knajpce znajdujemy schronienie przed nadciągającą burzą, z przygodnie poznanym Żydem z Jerozolimy gwarzymy przy kawie i kieliszeczku raki. Dzięki uśmiechowi losu udaje nam się wydostać stąd i dotrzeć „okazją” do Agio Nikolaos. Przybywamy do tego leżącego na północy wyspy miasta już o zmroku. Od razu idziemy w kierunku portu rozświetlonego tysiącami wdzierających się w morze lampionów.

Rankiem jedziemy do położonej nieopodal miejscowości Kritsa, by obejrzeć w tamtejszym klasztorze pochodzące z XIV wieku słynne bizantyjskie freski. Sceny z życia Maryi i Józefa, i robiący największe wrażenie Sąd Ostateczny: tronujący Chrystus i Maryja trzymająca w podołku głowy zbawionych.

Mimo zmęczenia decydujemy się na jeszcze jeden wysiłek, idziemy pieszo do leżącego parę kilometrów dalej starego doryckiego miasta o swojskiej nazwie Lato. Cudownie wkomponowane w stok wzgórze siedlisko Dorów mimo ruiny do dziś robi jeszcze wrażenie.

Zmęczeni, brudni, głodni, ale i pełni bogatych doświadczeń możemy wracać do Agio Nikolaos, skąd zaplanowaliśmy powrót na kontynent. Czas pożegnać Kretę i podziękować jej władcy Minosowi za życzliwość i gościnę. Nie sposób wyjeżdżać stąd bez przeświadczenia o konieczności powrotu. Powrotu do miejsca, z którego wyrastają nasze korzenie.

Tadeusz Zych

WOKÓŁ „CUDU NAD WISŁĄ”

w 85. rocznicę Bitwy Warszawskiej

„Zdaniem moim, nie ulega żadnej wątpliwości, że bitwa pod Warszawą w 1920 roku posiada wiele cech, które są konieczne, jeżeli pewne wydarzenia mają mieć wszechświatowe znaczenie... Zasadnicze znaczenie polskiego zwycięstwa nie ulega najmniejszej wątpliwości: gdyby wojska sowieckie przełamały opór armii polskiej i zdobyły Warszawę, wówczas bolszewizm ogarnąłby Europę Środkową, a być może przeniknąłby i cały kontynent...” Słowa te napisał angielski polityk lord d`Abernon w swym dziele pod znamienym tytułem „Osiemnasta decydująca bitwa w dziejach świata”. D`Abernon, analizując historię ludzkości, wyodrębnił w niej 18 kluczowych momentów, które zadecydowały o istnieniu cywilizacji zachodnioeuropejskiej. Bitwę Warszawską z sierpnia 1920 roku zaliczył był właśnie do ostatniego ogniwa w tym łańcuchu zmagania.

Wojna polsko-bolszewicka lat 1919-1921, z jej głównym i decydującym momentem, jakim była Bitwa Warszawska, której 85. rocznicę właśnie obchodzimy, w okresie międzywojennym doczekała się wielu studiów i analiz, wywołała wiele burzliwych polemik, by w dość krótkim czasie stać się narodową legendą i świętością. O przywilej jej własności i tytuł do chwały toczono polityczne spory, naród zaś połączywszy ją, jak to już nieraz w naszej historii bywało, ze świętem kościelnym i postacią Matki Bożej, uczynił ją powszechną, krzepiącą ducha, ogólną własnością – narodowym sacrum.

W latach po II wojnie światowej próby przemilczania czy fałszowania historii przez pragnącą kontrolować przeszłość władzę komunistyczną, doprowadziły w znacznej mierze do wyrzucenia jej poza obręb świadomości historycznej społeczeństwa. Lata wojny z bolszewikami schodziły coraz bardziej w niepamięć, trwała tylko pielęgnowana przez nieliczne środowiska legenda, która z czasem stała się swoistym testem na wiarygodność władzy. Społeczeństwo doskonale wiedziało, iż dopóki oficjalnie nie zostaną funkcjonować narodowe mity i symbole, dopóki nie ujrzą światła dziennego takie wydarzenia jak Bitwa Warszawska, Katyń, Powstanie Warszawskie, dopóty władza będzie się jawić bardziej jako forma agenturalna niż ciało wyrosłe ze społeczeństwa. Jest rzeczą oczywistą, iż władze komunistyczne doskonale zdawały sobie sprawę z tej sytuacji. Miały jednak świadomość, iż same zrodzone na kłamstwie i przemocy nie mogą sobie pozwolić na luksus mówienia prawdy. Stąd jedynym wyjściem było zdobycie monopolu na jedynie słuszną prawdę, w tym również na prawdę historyczną.

Dziś bogatsi o perspektywę czasu, spróbujemy odpowiedzieć na kilka kluczowych pytań dotyczących wojny polsko-sowieckiej. Spróbujemy odpowiedzieć na pytania o przyczynę konfliktu, jego konsekwencje oraz różnorakie znaczenie. Wojna została spowodowana konfliktem interesów obydwu walczących stron. To banalne stwierdzenie kryje jednak w sobie stanowiska wyjściowe obydwu antagonistów. Polityka polska wychodziła z założeń sformułowanych przez Józefa Piłsudskiego, które można zamknąć w dwóch głównych stwierdzeniach:

1) Polska leży pomiędzy dwoma potężnymi wrogami, którzy tylko na chwilę znaleźli się w trudnej sytuacji spowodowanej klęską Niemiec w I wojnie światowej, oraz zamieszczeniem wywołanym rewolucją i wojną domową w Rosji.

2) Chcąc poprawić swoje położenie, a w ostateczności przetrwać, Polska musi znaleźć sojuszników, stąd koncepcja tzw. federacji z państwami leżącymi między Rosją a Polską, tj. Litwą, Białorusią i Ukrainą. By to uczynić należy najpierw dopomóc tym narodom w uzyskaniu niepodległości. Polska odgradzona od Rosji buforem państw miała w tym federacyjnym sojuszu odgrywać rolę wiodącą (notabene wydaje się, iż ta koncepcja i dziś kusi swoją aktualnością).

Rosja, a ściślej Rosja bolszewicka miała odmienne plany dotyczące tej części Europy. Lenin wraz z głównym ideologiem rewolucji Trockim rzucili hasło ogólnoeuropejskiej rewolucji. Jak to otwarcie mówiono: po „trupie Polski” przy pomocy rosyjskich bagnetów miano nieść bolszewizm na Zachód, czyniąc z Europy wielką Republikę Rad. Komuniści zachodnioeuropejscy, głównie niemieccy gotowi do rewolucji czekali na odpowiedni sygnał ze Wschodu.

W takiej oto sytuacji Piłsudski, znając zamiar przeciwnika, postanowił wykorzystać jego chwilowe trudności spowodowane wewnętrzną walką z kontrrewolucją. Wiosną 1920 roku rusza polskie natarcie na Kijów, który zostaje zdobyty w maju tegoż roku. Sojusz Polski z Ukrainą miał stać się zaczątkiem federacji. Ten wielki sukces okazał się być jednak chwilowym, kontrofensywa Armii Czerwonej przełamuje front polski i szybkim tempem porusza się na Zachód. Na zorganizowany opór Sowietów natrafiają dopiero pod Warszawą. W tym to czasie dochodzi do dwóch wydarzeń, które warte są odnotowania. Dnia 1 lipca 1920 roku powstaje Rada Obrony Państwa z Piłsudskim na czele, a 24 lipca utworzono międzypartyjny Rząd Obrony Narodowej z Wincentym Witosem jako premierem. Społeczeństwo i elity polityczne pokazały tym samym, iż dla ratowania kraju należy poniechać waśni i sporów politycznych. Dobro wspólne zostało przedłożone nad

interes prywatny czy grupowy. Mit wrodzonej polskiej anarchii został u progu II Rzeczypospolitej obalony. Miało to dobrze wróżyć młodemu państwu. Ta radość z jedności została zmacona 30 lipca. W tym dniu właśnie, w Białymstoku powstał Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski z Marchlewskim i Dzierżyńskim na czele. Komitet, ogłaszając się reprezentacją ludu polskiego, wzywał do rewolucji skierowanej przeciw władzy państwowej i do utworzenia Polskiej Republiki Radzieckiej. W tym, przypominającym echa Targowicy wydarzeniu pobrzmiewała już zapowiedź Komitetu, który 24 lata później, zwąc się Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego, miał zrealizować cele swego poprzednika. Zaiste polityka rosyjska umiała być cierpliwa i konsekwentna.

Premier Witos w odezwie z 2 sierpnia pisał: „... Pragnęliśmy wszyscy Polski Ludowej... Ta Polska, którą na trwałych podwalinach już zaczęliśmy urządzać znalazła się przed katastrofą. Bolszewicy ruszyli na nasze ziemie i wdarli się już do naszych wsi i miast, niosąc zniszczenie i zagładę dla państwa i niewolę dla ludu... Od was bracia włościanie zależy czy Polska będzie wolnym państwem, w którym będzie rządził naród, czy też stanie się niewolnicą Moskwy...”

Bezpośrednie zagrożenie bytu dopiero przecież co tworzącego się państwa wywołało ogólny zryw patriotyczny. Na apel Rady Obrony Państwa tysiące ochotników ze wszystkich stron kraju, byłych żołnierzy, chłopów, harcerzy, młodzieży szkolnej jęło się zgłaszać do ochotniczego zaciągu. Armia polska rosła w siłę, choć nie brakowało głosów, iż sytuacja jest już beznadziejna i przesądzona, przeto lepiej układać się z wrogiem i przyjmując jego choćby najbardziej upokarzające warunki, niż daremnie poświęcać życie i narażać kraj na jeszcze większe straty. Tymczasem, krytykowany otwarcie przez polityczną opozycję, Wódz Naczelny przygotował plan nowej ofensywy. Wykorzystując rozmieszczenie wojsk rosyjskich, ich zupełną pewność siebie, postanowił niespodziewanie uderzyć w bok Armii Czerwonej oblegającej Warszawę. Uderzenie to, tzw. generalna polska kontrofensywa znad Wieprza z 16 sierpnia 1920 roku, doprowadziło do pęknięcia frontu rosyjskiego i szybkiego marszu oddziałów polskich na wschód. Sytuacja na froncie zmieniła się diametralnie. Drugi sukces nad Wkrą przypieczętował polskie zwycięstwo. Ostatecznie zmagania wojenne kończył Traktat Ryski z 1921 roku, ustalający wspólną granicę. Wojna z Rosją była wygrana. Na sukces zapracował cały Naród.

Powszechna wola zwycięstwa, talent Naczelnego Wodza i dowódców, męstwo żołnierza wbrew mniemaniom obcych ocaliły nie tylko polski byt państwowy, lecz zamknęły także drogę pochodu bolszewickiej Rosji na Zachód, ocalając Europę przed rewolucyjnym przewrotem. Bitwa Warszawska, będąca punktem zwrotnym tej wojny, przeszła do historii pod nazwą „Cudu nad Wisłą”. Słowo cud miało oznaczać w tej sytuacji udane wyjście z beznadziejnego położenia oraz ingerencję (pomoc) Opatrzności, a szczególnie Matki Bożej w odniesieniu zwycięstwa.

Warto również dodać, iż ten niewątpliwый sukces militarny był równocześnie wielką klęską polityczną koncepcji federacyjnych Piłsudskiego. Zwycięstwo nie rozwiązywało bowiem problemu sąsiedztwa z potężną Rosją, osłabiając ją, oddalało tylko widmo niebezpieczeństwa i zagłady na jakiś czas. Natomiast dało Polsce 20 lat na stworzenie i rozwój własnej państwowości. Dwadzieścia bezcennych lat, które ukształtowały nowoczesny naród polski. Nie sposób jednak oprzeć się refleksji, iż ciągiem dalszych planów rosyjskich miały w dalszej przyszłości stać się takie wydarzenia jak: pakt Ribbentrop-Mołotow, agresja 17 września czy wreszcie Katyń; one to były właściwą kontynuacją polityki, która zahamowana została warszawskim zwycięstwem 1920 roku. Zwycięstwo to dawało naszemu narodowi nie tylko czas na jego rozwój, lecz stało się ono również źródłem dumy, budząc wiarę we własne siły.

Ten pierwszy od czasów wiktorii wiedeńskiej sukces potrzebny był narodowi, by u zarania odrodzonej państwowości mógł czerpać zeń swoją nadzieję na przyszłość. Powszechny udział ludności w wojnie nie tylko wykazał olbrzymie pokłady patriotyzmu drzemiące w społeczeństwie, dla wielu był on pierwszym zetknięciem się z ideą polskości. To właśnie masowy udział chłopów w wojnie stał się dla nich lekcją polskości, wielką szkołą świadomości narodowej.

Wojna ta miała również swoich bohaterów. Był nim oczywiście Piłsudski, byli generałowie: Sikorski, Rydz-Śmigły, Sosnkowski. Bohaterem został ksiądz Skorupka. Oni to weszli do Panteonu narodowej chwały przez bramę oznaczoną cyfrą 1920. Decydującą rolę w tej wojnie odegrali jednak przede wszystkim bezimienni ochotnicy. Oni to rozstrzygnęli ten swoisty plebiscyt – wyboru pomiędzy takimi wartościami jak: państwo, naród, patriotyzm, chrześcijaństwo z jednej strony, a bolszewizmem, walką klas, rewolucją i terrorem z drugiej. Opowiedzenie się mas po stronie tych pierwszych wartości zadecydowało o ostatecznym sukcesie w walce o obronę nie tylko granic, ale i imponderabilii.

Wśród ochotników ze wszystkich stron kraju nie zabrakło również tych z Ziemi Tarnobrzesckiej, Dzikowskiej. Byli wśród nich uczniowie tarnobrzesckiego gimnazjum, byli okoliczni chłopci, byli robotnicy i harcerze.

Na koniec odrobinę statystyki:

W wojnie 1919-1921 zginęło lub zmarło z ran około 105 tysięcy polskich żołnierzy. Dla porównania, poległych w wojnie obronnej 1939 roku szacuje się na około 77 tysięcy.

Pamiętajmy! – że to właśnie z ich „trudu i znoju Polska powstała, by żyć”.

Andrzej Wilgosz

LAUREACI „DZIECIĘCYCH INTERPRETACJI”

12 czerwca br. zakończyły się prezentacje finałowe III edycji Konkursu Recytatorskiego „Dziecięce Interpretacje” adresowanego do uczniów szkół podstawowych powiatu tarnobrzесkiego.

Celem konkursu organizowanego przez Tarnobrzесki Dom Kultury jest popularyzacja sztuki interpretacji wiersza oraz kształtowanie wyobraźni i wrażliwości dzieci. W tegorocznej edycji konkursu wzięło udział w sumie 140 recytatorów, natomiast w finale spotkało się 43 uczniów.

Komisja Artystyczna, której przewodniczyła Agnieszka Nakielska-Dydo (logopeda), oceniała uczestników w dwóch odrębnych kategoriach wiekowych.

W kategorii I (uczniowie klas I-III) nagrody otrzymali: **Piotr Michalczuk** (SP Nr 3), **Barbara Pasierb** (SP Nr 3), **Oskar Pieniak** (SP Nr 3), **Wanda Szmuc** (SP Nr 4), **Karol Waclawczyk** (SP Nr 3) i **Bogusław Zajadły** (SP Nr 10). Wyróżniono: **Piotra Wolskiego** (SP w Knapach), **Marcelinę Zielińską** i **Katarzynę Zych** (SP Nr 7).

Natomiast w II kategorii wiekowej (uczniowie klas IV-VI) nagrody przyznano: **Paulinie Armatys** (SP Nr 3), **Aleksandrowi Furgalowi** (SP Nr 4), **Weronice Karbowniczek** (SP Nr 4), **Wojciechowi Makowskiemu** (SP Nr 4), **Karolinie Mazur** (SP Nr 4), **Grzegorzowi Tomczykowi** (SP Nr 8) i **Karolinie Wójcickiej** (SP w Knapach). Wyróżnienia otrzymali: **Karolina Dziuba** (SP Nr 10), **Beata Kosmała** i **Dawid Paż** (SZ w Cyganach), **Krzysztof Czuryło** (SP Nr 3).

Wszyscy uczestnicy Konkursu otrzymali pamiątkowe dyplomy, a laureaci nagrody książkowe ufundowane przez Tarnobrzесki Dom Kultury.

Sylwester Łysiak

PREMIERY W TDK

31 maja 2005 r. w Tarnobrzесkim Domu Kultury odbyła się premiera teatralna Młodzieżowego Teatru Amatorskiego – grupy „CoJestGrane” pt. „Miłosne perypetie” wg W. Szekspira.

W przedstawieniu udział wzięli: **Klaudia Wójtowicz, Patrycja Jakubowska, Dorota Kłeczek, Agnieszka i Katarzyna Majcher, Magdalena Pałuba, Gabriela Gierczak, Bartek Sekulski, Rafał Czubiński.**

Premiera była podsumowaniem całorocznych warsztatów teatralnych, prowadzonych w TDK przez **Sylwestra Łysiaka**. Młodzi adepci sztuki teatralnej otrzymali podziękowania w formie dyplomów, wręczone przez **Piotra Markuta** – dyrektora TDK.

Grupa „RomPomPoni” Młodzieżowego Teatru Amatorskiego działającego przy Tarnobrzесkim Domu Kultury wystąpiła dla tarnobrzесkiej młodzieży z premierą przedstawienia pt.: „O tempora, o mores – O czasy, o obyczaje” 10 czerwca 2005 r. Była to adaptacja sztuki L. Herdegena i J. Stwory pt.: „Jak żołnierz zbója nawrócił”

W spektaklu zagrali: **Klaudia Brzozowska, Karolina Niezgoda, Aldona Kędzierska, Małgorzata Nie-radka, Aleksandra Paślawska, Barbara Sekulska, Jakub Trojanowski, Krystian Wdowiak, Rafał Czubiński, Augustyn Kozak.** W skład grupy teatralnej wchodzi młodzież szkół podstawowych, gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych z Tarnobrzega.

Premiera była ukoronowaniem całorocznych ćwiczeń z emisji głosu, dykcji, ruchu scenicznego. Na zakończenie pracy wszyscy otrzymali certyfikaty.

art. plastyk **Bożena Wójtowicz-Ślęzak**

MALUJEMY PASTELAMI

Tegoroczna 8 edycja Konkursu Plastycznego „Malujemy Pastelami” została rozstrzygnięta. 1 czerwca br. o godz. 16.00 w Tarnobrzесkim Domu Kultury miało miejsce otwarcie wystawy pokonkursowej, wręczenie nagród i wyróżnień.

Temat martwej natury opracowany w technikach pastelowych cieszył się dużym zainteresowaniem dzieci i młodzieży. Prace w formacie 50x70 cm nadesłało ponad 200 autorów z 4 województw: podkarpackiego, małopolskiego, świętokrzyskiego, lubelskiego. Komisja w składzie: **Wiktor Czura, Elżbieta Miśkiewicz, Stanisław Dziubak** – wybrała prace 50 młodych artystów, przyznając 7 nagród: **Ewelina Ważny** (Tarnów), **Aleksandra Szczeklik** (Tarnów), **Krzysztof Gałek** (Rzeszów), **Katarzyna Posiewała** (Rzeszów), **Dominika Jalowska** (Tarnobrzeg), **Agnieszka Sała** (Lublin), **Marta Turecka** (Lublin) oraz 8 wyróżnień: **Katarzyna Kwiatkowska** (Mielec), **Robert Szczepanów** (Mielec), **Dorota Orlof** (Kraków), **Katarzyna Jania** (Tarnobrzeg), **Klaudia Sztal** (Lublin), **Adrian Zięba** (TDK), **Michał Smykła** (Skopanie), **Kacper Chwałek** (Skopanie).

Oglądając prace pokonkursowe eksponowane **od 1 do 20 czerwca** w Galerii Tarnobrzесkiego Domu Kultury, można było przekonać się jak zdolna i wrażliwa młodzież zaprezentowała swój dorobek twórczy.